MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 44 WARSZAWA, 25 PAZDZIERNIKA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

SERIO CZY DLA POZORU?

WYSTĄPIENIE p. ministra Becka w Genewie z argumentem, że Polska potrzebuje kolonij na to, aby mieć gdzie skierować emigrację żydowską, oraz związana z tem wystąpieniem kampania prasy sanacyjnej, stwierdzającej, że to teraz dopiero, t. j. przez wystąpienie p. Becka w Genewie, rozwiązanie sprawy żydowskiej w Polsce pchnięte zostało na właściwe tory, w przeciwieństwie do wszystkiego tego, co dotychczas było w związku ze sprawą żydowską czynione, a co było tylko demagogią, — oba te, powtarzamy, fakty, wytworzyły dookoła sprawy żydowskiej splot nieporozumień, który jaknajszybciej należy usunąć.

Nie kwestionując słuszności powołania się przez p. Becka na argument emigracji żydowskiej przy motywowaniu polskich żądań kolonialnych w Genewie (przed tak obłudnem *forum* jak Liga Narodów godzi się wysuwać nawet argumenty niezupełnie szczere, — skoro właśnie te argumenty mogą trafić do przekonania słuchaczy), — stwierdzić musimy, że byłyby bardzo niedobrze, gdyby powiązanie sprawy żydowskiej ze sprawą naszej ekspansji kolonialnej miało się w polskiej opinii publicznej utrwalić. Bo w istocie, są to dwie sprawy zupełnie różne i od siebie niezależne.

Również i waga ich jest niejednakowa. Rozwiązanie sprawy żydowskiej drogą masowej emigracji żydów jest dla naszego narodu kwestią życia i wykonane być musi. Zdobycie własnych kolonij jest tylko rzeczą dla naszego narodu bardzo pożądaną i wykonane być w miarę możności powinno.

Może się jednak okazać, że zdobycie kolonij będzie dla nas rzeczą niemożliwą. Albo też, że się na bardzo odległe terminy odwlecze. Gdyby rozwiązanie sprawy żydowskiej miało być najściślej ze sprawą zdobycia kolonij związane — musiałoby ono być w wymienionych wyżej wypadkach odroczone, bądź *ad calendas graecas*, bądź na bardzo długo. A tymczasem to jest sprawa paląca, której odwlekać niepodobna.

Następnie, jeśliby się nawet nam udało zdobyć posiadłości kolonialne względnie szybko, to nie znaczyłoby to bynajmniej, że rozwiązanie sprawy żydowskiej posunęłoby się przez to bardzo naprzód.

Przedewszystkiem dla tego, że jeśli—kosztem z pewnością nie małych wysiłków — uda nam się nasze dążenia kolonialne uwieńczyć powodzeniem i posiadłości zamorskie uzyskać, — to jasną jest rzeczą, że przedewszystkiem sami z nich będziemy chcieli korzystać. Kolonij potrzebujemy dla siebie. Jeśli zdołamy je zdobyć, płacąc za nie ustępstwami w rozgrywkach dyplomatycznych na innych polach, oraz wielkim na początek wysiłkiem finansowym, a z pewnością też i krwią polskiego żołnierza, bez którego udziału faktyczne wzięcie przyznanych nam terytoriów w posiadanie z pewnością się nie obejdzie — to zrobimy to dla siebie, a nie dla żydów.

Jeśli żydzi potrzebują kolonij na własne cele, to niech się o nie postarają sami. W swoim czasie Wielka Brytania dawała im do dyspozycji (oczywiście pod zwierzchnictwem angielskiem) Ugandę. Wziąć nie chcieli. Dla czego? Niech się teraz martwią sami.

Jeśli zdobędziemy kolonie, to — w zależności od ich charakteru, strefy geograficznej i t. d. — będziemy pragnęli uczynić je bądź częścią naszego terytorium narodowego przez zaludnienie ich polską ludnością i zamienienie na zamorskie, rdzennie polskie województwo, bądź też częścią naszego organizmu gospodarczego, jako źródło potrzebnych nam surowców, płodów tropikalnych i t. d. — I w jednym i w drugim wypadku, obecność żydów na nowouzyskanem terytorium, nie tylko w roli masowych osadników, ale nawet w roli nielicznej garści kupców i przedsiębiorców, byłaby ze wszech miar niepożądana.

Nie chcemy powtarzać błędu, popełnione-

go (po maju) w Gdyni, która stała się „Odessą północy", — gniazdem żydostwa. Stwarzając od nowa ośrodek życia narodewego za morzami, pragniemy budować go od początku bez defektów dotychczasowego życia polskiego, a więc i bez głównego jego defektu, jakim jest zażydzenie. A zażydzenie, — zarażenie żydowskiemi pierwiastkami spekulacji, wyzysku, demoralizacji i rozkładu czegoś tak z natury rzeczy podatnego na zdemoralizowanie, jak posiadłość kolonialna, byłoby oparciem naszej akcji kolonialnej odrazu na zgniłych podstawach.

Ale teraz argument najważniejszy.

To, że będziemy mieć kolonię, do której pozwalalibyśmy żydom jechać, wcale nie oznacza, że tam żydzi istotnie pojadą.

Pojedzie, oczywiście, garść spekulantów i „niebieskich ptaków", chętnych do rozpoczęcia eksploatowania czy to murzynów, czy też białych polskich emigrantów-osadników. Ale dwa, trzy czy cztery miliony żydów, które mogłyby znaleźć miejsce w koloniach tylko w twardej pracy na roli, czy też w pasterstwie, w plantacjach, w rybołówstwie i t. d., nie pojadą tam ani trochę chętniej, niż dziś do tych licznych krajów, które gotowe są u siebie żydowskich osadników przyjąć.

Jeden z żydowskich dzienników napisał w tych dniach, że żydzi chętnie osiadają na roli w Palestynie, bo to jest ich ojczyzna, ale w innych krajach egzotycznych osiadać na roli nie mają zamiaru i ich kolonizacja rolnicza jest tam z góry skazana na niepowodzenie, czego jaskrawym dowodem jest np. zupełne załamanie się na szeroką skalę ongiś zakrojonego osadnictwa żydowskiego w Argentynie.

Otóż to! Żydzi nie dla tego nie emigrują z Polski, żeby nie mieli dokąd, ale dla tego, że tam, gdzieby mogli emigrować, mniej im się podoba niż w Polsce.

W Polsce stanowią oni warstwę pośredników. Dla warstwy pośredników niema zbyt wielkich możliwości imigracyjnych w różnych krajach świata. Żydzi nie stracili jeszcze nadziei, że będą moglî i nadal pozostać w Polsce jako warstwa pośredników. To też nie mają ochoty opuszczać Polski wobec tego, że wiązałoby się to ze zmianą ich sposobu egzystencji. I ani trochę więcej nie nabiorą ochoty, gdy Polska zdobędzie kolonię.

Punkt ciężkości rozwiązania sprawy żydowskiej leży nie w tem, dokąd emigrować, ale w tem, żeby emigrować. Miejsca, dokąd można emigrować, jest jeszcze dużo na świecie. Oczywiście, emigrować nie na stanowiska pośredników i spekulantów.

Nie mówiąc już o Rosji Sowieckiej, która z pewnością w krytycznym momencie gotowa będzie przyjąć w swe granice duże masy wiernych swoich zwolenników żydowskich — nawet w państwach „burżuazyjnych" wiele jest jeszcze miejsca dla gotowych do rzeczywistej twardej pracy imigrantów. Prasa narodowa wciąż drukuje coraz to nowe informacje o możliwościach imigracyjnych w różnych krajach, — zwłaszcza w Ameryce Południowej i w koloniach. Gdyby żydzi na serio myśleli o emigracji, gdyby w kierunku znalezienia terenów np. dla swej kolonizacji rolniczej wytężyli swą energię i przedsiębiorczość i skupili w tym celu odpowiednie kapitały (których im przecież nie brak) — sprawa emigracji żydów z Polski byłaby rozwiązana.

To też istotną, realną drogą prowadzącą do rozwiązania sprawy żydowskiej w Polsce jest praca nad wzbudzeniem w żydach ochoty do opuszczenia Polski. Opuszczenia nawet na los twardy i trudny.

Bojkot gospodarczy, odżydzanie Przytyków, zaciskanie ram ghetta w Łodziach, usuwanie żydów z uniwersytetów — to jest pozytywna, twórcza działalność, prowadząca pewną drogą do likwidacji sprawy żydowskiej w Polsce. Wszystko inne — to tylko frazes i demagogia.

J. G.

NASZE UBÓSTWO

W R. 1888 wydał Stanisław Szczepanowski „Nędzę Galicji", która to książka wywarła wielkie wrażenie na polską opinię publiczną. Wykazywał w tej książce, że „praca rolnika galicyjskiego wydaje zaledwie czwartą część tego plonu, co praca rolnika w zachodniej Europie... jego pożywienie nie dochodzi ani połowy tej ilości, co pożywienie w zachodniej Europie. Przeciętny Galicjanin pracuje za ćwierć, a je za pół człowieka... Cały lud nasz o wiele gorzej jest żywiony od nędzarzy angielskich. Ilość pożywienia nie tylko że nie wystarcza na wytworzenie siły roboczej,—ale nie wystarcza na utrzymanie zdrowia i życia".

Dzisiaj po prawie pięćdziesięciu latach, możnaby napisać książkę, zatytułowaną „Nędza Polski". St. Szczepanowski przeciwstawił Galicję innym dzielnicom, lepiej ekonomicznie sytuowanym. Obecnie to przeciwstawienie w dość znacznym stopniu przestało być aktualne. Oczywiście zmieniło się bardzo wiele. Nawet w Galicji już po kilkunastu latach od czasu napisania „Nędzy" był bardzo znaczny postęp. Ale jeżeli się czyta opisy wsi dzisiejszej, zestawia różne, pracowicie zebrane materiały o stanie konsumcji, potrzeb, dobrobytu naszej wsi a także i ludności po miastach, bardzo często przychodzi na myśl głośne dzieło Szczepanowskiego. I dzisiaj nie straciły znaczenia jego słowa: „Przyswoiliśmy sobie potrzeby i pozory cywilizacji, ale jeszcze nie jej potęgę i twórczość". Albo takie zdanie: „Natomiast jest jedna warstwa ludności, która od wielu lat ciągle się rozwija, z każdym dniem potężnieje i staje się główną cechą naszego społeczeństwa: tą warstwą — biurokracja..."

Nie potrzebujemy gromadzić liczb, ilustrujących nasz niski stan ekonomiczny, ani przytaczać jaskrawych przykładów, bo w ostatnich latach wiele ich przytoczono. Możemy przyjąć jako punkt wyjścia rozważań nad zagadnieniem programu gospodarczego Polski, wielkie jej ubóstwo. Ale odrazu należy stwierdzić, że to ubóstwo nie zostało wywołane dopiero przez t. zw. kryzys. Dzięki niemu, doszło do niemal powszechnej świadomości.

Niewątpliwie kryzys spotęgował zubożenie Polski, zniszczył w wielu dziedzinach skromny nasz dorobek. Ale nawet w latach tak zw. pomyślnej koniunktury dobrobyt był więcej pozornym, niż rzeczywistym. W r. 1928 zadłużenie krótkoterminowe Polski (nie licząc pożyczek długoterminowych) wzrosło o 891 mil. zł., a w r. 1929 o 552 mil. Skarb otrzymywał z ceł setki milionów rocznie. Szły do kraju towary, nabywane na kredyt. Wielu ludzi widziało w tem dowód „*prosperity*", podobnie jak nieraz lekkomyślny gospodarz uważa za dowód swej pomyślności, gdy uda mu się zaciągnąć poważniejszy kredyt.

Polska jest krajem ubogim bodaj że od połowy XVII wieku. Po rozbiorach niektóre dzielnice Polski były we względnej pomyślności, ale wynikało to ze specyficznych przyczyn, w znacznym stopniu łączyło się z infiltracją obcego kapitału. Po wojnie inflacja stwarzała pozorną pomyślność niektórych grup ludności, później zagraniczne kredyty stworzyły pozory pomyślności całego gospodarstwa. Ale dzisiaj nikt już chyba nie ma złudzeń co do tego, że były to tylko pozory.

Oczywiście nie wszystkim jednakowo źle się dzieje. Niektórym nawet dzieje się bardzo dobrze przy powiększającem się zubożeniu ludności; można zarabiać i na kryzysie „zwalczając" kryzys, nadzorując zachwiane przedsiębiorstwa i t. d. Ale zdajmy sobie sprawę, choćby w grubem przybliżeniu, z nikłości naszego dochodu społecznego. W r. 1929 płatników podatku dochodowego, którym wymierzono podatek od dochodu, wynoszącego od 20,000 do 40,000 zł., było 13,000; z dochodem ponad 40,000 zł.—7,000. Oczywiście nie wszystkie dochody zostały uwzględnione, wiele ukryło się przed podatkiem: ale z drugiej strony trzeba się liczyć z wielkiem obniżeniem się dochodu społecznego w następnych latach.

Jeżeliby ktoś chciał podzielić sprawiedliwie wszystkie większe dochody między mniej uposażone masy społeczeństwa, to masy nie odczułyby niemal zupełnie tej nadwyżki. Zagadnienie naszego gospodarstwa jest w drugiej dopiero linii zagadnieniem rozdziału dochodu społecznego; a zaś w pierwszej zagadnieniem zwiększenia tego dochodu. Innemi słowy: można przyjąć ten lub inny system gospodarczy. Ale trzeba go oceniać według tego, o ile i w jakim stopniu potrafi on doprowadzić do zwiększenia dochodu społecznego. W kraju o wielkiem nagromadzeniu bogactwa, które jednostronnie skupiło się w nielicznych rękach, jest rzeczą naturalną, że w pewnym momencie na pierwszy plan wysuwają się dążenia, by wprowadzić nowy rozdział dochodu społecznego, by przywrócić zachwianą równowagę społeczną. Wtedy zjawia się hasło, by urzeczywistnić „*New Deal*", jak w Stanach Zjednoczonych Ameryki Półn. Nie lekceważymy zagadnień rozdziału dochodu społecznego, istnieją one w każdem gospodarstwie. Ale podkreślamy że tam, gdzie trzeba zwiększyć absolutnie dochód społeczny, z tego właśnie punktu widzenia należy oceniać wszelkie próby przemiany stosunków społecznych. To znaczy, że w Polsce wszystkie systemy gospodarcze muszą mieć charakter produtywistyczny.

Teoria ekonomii odróżnia dwa schematy gospodarstw: gospodarstwo statyczne, które jest już w zastoju i w którem z roku na rok nie zachodzą ważniejsze zmiany ilościowe i jakościowe, i gospodarstwo dynamiczne, podlegające zmianom rozwojowym. Dwa główne czynniki wchodzą tu w rachubę: ludność i kapitał w najszerszem tego wyrazu znaczeniu, to znaczy te wszystkie dobra materialne, dzięki którym zaspokaja się potrzeby ludzkie. Jeżeli ludność wzrasta, to kapitał musi wzrastać conajmniej w tym samym stopniu; w przeciwnym razie statyka po stronie kapitału a dynamika po stronie ludności prowadzi automatycznie do pauperyzacji społeczeństwa.

Niektórzy pisarze uważają silny przyrost naturalny ludności w Polsce, który zresztą niepokojąco słabnie w ostatnich latach, za jedno ze źródeł naszego ubóstwa: według nich produkuje się dzieci zamiast produkować kapitał. Naszem zdaniem, ten pogląd jest błędny. Niewątpliwie w społeczeństwie bogatem zastój przyrostu naturalnego ludności przyczynia się do szybszej kapitalizacji. Ale ludzie oszczędzają często dla tego, że mają dzieci. Słabnięcie przyrostu naturalnego ogranicza możność produkcji wielu dóbr; zmniejsza na nie popyt. Przedewszystkiem zanik przyrostu naturalnego doprowadzi wcześniej czy później do zaniku energii gospodarczej. Ale pomijając te wszystkie względy, nie biorąc pod uwagę moralnej i militarnej strony tego zagadnienia, musimy stwierdzić, że powstrzymanie płodności społeczeństwa w żadnym razie nie da gospodarczego wyniku w okresie, który możemy objąć naszemi przewidywaniami. Nie wiemy, co może być za lat dwadzieścia, nie wiemy np., jakie postępy poczyni technika produkcyjna. Przecież od niewielu stosunkowo lat produkcja związków azotowych wywołuje przewroty w rolnictwie. Dla tego też, pomijając inne względy, już choćby ze stanowiska ekonomicznego nie może dla nas istnieć zasada ograniczenia przyrostu naturalnego ludności.

Bogactwo kraju i stopień jego przyrostu zależy od następujących czynników: a) zasobów naturalnych i położenia geograficznego; b) zdolności wytwórczej ludności; c) kierunku produkcji i przeznaczenia pracy (zaspokajanie potrzeb bieżących i oszczędność produkcyjna). Omówmy kolejno te czynniki.

Tuła się legenda o ogromnych bogactwach naturalnych Polski. Rzeczywistość wygląda inaczej niż przedstawiają ją propagandowe romanse. Polska dzięki swym warunkom geograficznym jest organizmem gospodarczo zdrowym. Może osiągnąć prawidłową równowagę między przemysłem i rolnictwem. Ma sporo zasobów ziemi, które może przerabiać, nie zależy jednostronnie od zagranicy co do dostawy większości podstawowych surowców; w każdych warunkach, nawet w razie znacznego wzrostu ludności, może się sama wyżywić.

Z drugiej jednak strony Polska nie ma tak niezmierzonych bogactw naturalnych, by stanowiła szczególną atrakcję dla kapitału zagranicznego. Nie możemy pozwolić sobie na rozrzutność w wyzyskiwaniu zasobów ziemi. Polska ma zaludnienie rolnicze jedno z najgęstszych w Europie; gospodarka ekstensywna w rolnictwie grozi niedoborem środków żywności. Zewnętrzne warunki tak się ułożyły, że nie uzyskamy wiele dochodu z tranzyta i międzynarodowego pośrednictwa. Brak naturalnych granic nakłada na gospodarstwo specjalne ciężary na rzecz obrony kraju; położenie głównych

siedzib przemysłu, w szczególności odległość ich od morza, stanowi wielką trudność w eksporcie. Krótko mówiąc, nie możemy naszej pomyślności gospodarczej opierać głównie na tem, co nam daje natura i zewnętrzne warunki bytu.

Zdolność wytwórcza ludności zależy od naszej umiejętności gospodarowania, inicjatywy, fachowości, od „żywego kapitału", tkwiącego w ludziach. Ten kapitał nie jest ilością stałą, można go pomnażać. Ale nie zrobi się tego odrazu. Trzeba przez pokolenia zdobywać gospodarcze doświadczenie, trzeba przeobrazić w znacznym stopniu psychikę społeczną. Wielkie znaczenie pod tym względem ma wychowanie gospodarcze, ale ono nie daje tak szybkich wyników, jak polityka gospodarcza.

Najważniejszą, bezpośrednią doniosłość ma kierunek produkcji i przeznaczenie pracy. Gospodarstwo narodowe wytwarza dwa rodzaje dóbr: dobra służące do dalszej produkcji, jej narzędzia i urządzenia (dobra produkcyjne) i dobra służące do zaspokojenia bieżących potrzeb (dobra konsumcyjne). Stosunek, który między temi dobrami zachodzi, rozstrzyga, na dłuższą metę, o dobrobycie narodu i o całej jego przyszłości. Politykę gospodarczą państwa można oceniać według tego, czy po upływie danego okresu czasu uzyskało się nadwyżkę produkcyjną, czy się jej nie uzyskało; czy wzrósł znacznie majątek narodowy, czy też ten majątek zmalał. Zjawisko wzrastania majątku narodowego, w szczególności ilości dóbr, służących do dalszej produkcji, nazywamy kapitalizacją. W kraju ubogim, a zwłaszcza w kraju w którym istnieje znaczny przyrost naturalny ludności, kryterium kapitalizacji jest najważniejszem kryterium oceny polityki gospodarczej. Program gospodarczy, który tego czynnika nie bierze pod uwagę, nie zasługuje na miano programu.

Przyrost naturalny ludności w Polsce wynosi obecnie około 1.25% rocznie. Jeżeli przyjmiemy, dla orientacji, wartość majątku narodowego na 63 miliardów złotych (ścisłych danych brak, zresztą każde obliczenie tego majątku daje bardzo hypotetyczne wyniki), majątek narodowy powinien wzrastać co roku o conajmniej wyżej wymieniony procent, jeżeli nie ma powiększać się pauperyzacja społeczeństwa. Daje to liczbę 750 milionów zł. rocznie jako niezbędne *minimum* kapitalizacji. Ktoś inny mógłby zamiast tych 750 przyjąć 500 milionów, kto inny jeden miliard; w każdym razie konieczny jest bardzo poważny przyrost kapitału, idący w setki milionów.

Kapitalizacja jako jeden z celów polityki ekonomicznej? Takie określenie może nie być czemś zachęcającem dla ludzi, którzy szukają bardziej wzniosłych zadań i haseł. Oczywiście nie można na tem poprzestać. Trzeba zużyć gromadzący się kapitał do celów wyższych, zaprządz go do służby w ogólnej polityce narodowej. Ale kapitalizacja, to niejako elementarna, podstawowa funkcja gospodarstwa, bez której nie można się obejść.

Nie potrzeba specjalnie podkreślać, że kapitalizacja a kapitalizm, jako określony ustrój gospodarczy to rzeczy zupełnie różne. Można być wrogiem dzisiejszego kapitalizmu, zwolennikiem zniesienia własności prywatnej, a uznawać konieczność kapitalizacji. Rosyjski bolszewizm stara się wykazać, że on właśnie przyśpiesza jej tempo, że stawia do dyspozycji społeczeństwa coraz więcej maszyn, urządzeń produkcyjnych, które wzmagają wydajność pracy i dają trwałe podstawy pod lepsze zaspokojenie potrzeb ludzkich. Zagadnienie ustroju gospodarczego, to zagadnienie sposobu skuteczniejszej kapitalizacji. Zwolennicy własności prywatnej są zdania, że dążenie jednostek do zysku najskuteczniej prowadzi do pomnożenia kapitału. A zaś kolektywizm tę zaletę przypisuje swoim zasadom. Nie jest spornem pytanie, czy kapitalizować; spór toczy się o to, jak kapitalizować.

Ubogie gospodarstwo narodowe musi przeznaczać stosunkowo więcej na produkcję dóbr trwałych, by stało się bogatszem, a nie może konsumować całego swego dochodu społecznego. Innemi słowy musi oszczędzać. Ale co do pojęcia tak na pozór prostego jak oszczędność zachodzą duże nieporozumienia.

Oszczędzanie, to czynność negatywna; to powstrzymanie się od zaspokojenia potrzeb natychmiastowych, by móc zaspokoić potrzeby przyszłe. Otóż wtedy oszczędność prowadzi do prawdziwej kapitalizacji, gdy jest oszczędnością produkcyjną. Jeżeli ktoś gromadzi zapasy konsumcyjne, to niewątpliwie oszczędza, ale nie pomnaża źródeł dochodu społecznego, nie zwiększa zdolności produkcyjnej gospodarstwa narodowego. Zakopane w ziemi złoto może się przydać wtedy, gdy się je odkopie i rzuci w obrót gospodarczy. Ale dopóki jest w ziemi, nie ma żadnego znaczenia, jest dobrem martwem. Bardzo często taka tezauryzacja, wycofująca środki obrotowe, pogarsza stan gospodarstwa narodowego.

A dalej statystyka oszczędności pieniężnych bardzo często wprowadza w błąd co do rozmiarów rzeczywistej oszczędności. Przypuśćmy, że oszczędność pieniężna wzrosła w ciągu roku o 300 mil. zł. To znaczy, że tyle pieniędzy wpłynęło do kas i banków w postaci wkładów oszczędnościowych, nabyto tyle a tyle listów zastawnych i obligacyj i t. d. To tylko jedna strona sprawy. Co się jednak stało z temi pieniędzmi? Mogły być zużyte na cele produkcyjne, powiększyć majątek narodowy albo też być obrócone przez dłużników na konsumcję.

Jedni oszczędzają, stają się wierzycielami, drudzy pożyczają zaoszczędzone przez nich pieniądze i zużywają na zaspokojenie bieżących potrzeb. W ostatecznym wyniku, *per saldo*, zaszła pewna zmiana w rozdziale dochodu społecznego; powiększyła się ilość rentierów, a wzrosło zadłużenie innych warstw ludności. W tym przypadku jednak nie możemy zarejestrować wzrostu kapitału produkcyjnego.

W roli konsumenta pożyczonego kapitału występują nie tylko jednostki prywatne, żyjące nad stan. Bardzo często zużywa pożyczony kapitał na cele konsumcyjne także i państwo. Jeżeli państwo obraca pożyczone przez siebie pieniądze na pokrywanie deficytów zwyczajnego budżetu, to marnuje rezultat oszczędności; podobnie też obraca je w niewłaściwym kierunku, gdy za pożyczone pieniądze funduje gmachy reprezentacyjne, gdy robi inwestycje, które nie mają trwałego, gospodarczego znaczenia. Tylko oszczędność, zużyta produkcyjnie, jest prawdziwą oszczędnością i wyrazem istotnej kapitalizacji. Państwo czasami musi się zadłużać na bieżące potrzeby, albo też na wojnę; ale nie nazywajmy tego kapitalizacją, co jest tylko zjedzeniem nagromadzonego kapitału.

Idea oszczędności ma swych przeciwników. A to w tem znaczeniu, że czasami widzi się w oszczędności hamulec ożywienia gospodarczego. Oszczędność, to jak wiemy, powstrzymanie się od zaspokojenia teraźniejszej potrzeby, to ograniczenie bieżącej konsumcji. A tymczasem niektórzy ludzie właśnie we wzmożeniu konsumcji widzą czynnik ożywczy, podnietę do przełamania depresji gospodarczej. Wskazuje się na to, że jeżeli się będzie mniej konsumowało, to wtedy powiększy się zastój, osłabnie tempo produkcji.

Tkwi w tem bałamuctwo, które łatwo wyjaśnić. Oszczędność odwraca kapitał od jednych zastosowań, a zwraca go ku innym. O ile się zużywa celowo gromadzące się oszczędności, będzie się coprawda mniej wytwarzało dóbr konsumcyjnych, a natomiast więcej dóbr produkcyjnych. Wzmożenie tempa oszczędności nie oznacza bynajmniej zastoju i zmniejszenia zapotrzebowania; zwraca się ono ku produkcji dóbr trwałych. Zamiast wyrabiać przedmioty codziennego użytku, wytwarza się maszyny, podnosi wydajność ziemi, buduje fabryki i t. d. A w przyszłości przez powiększenie aparatu wytwórczego otwierają się nowe możliwości pracy. Zaspokojenie bieżących potrzeb będzie łatwiejsze, bo obniża się koszty produkcji.

Stwierdzamy więc, że w Polsce należy przyśpieszyć tempo kapitalizacji, że trzeba powiększyć trwałe źródła dobrobytu. Praca w tym kierunku jest zgodna z naczelnemi postulatami idei narodowej. Naród to nietylko żyjące pokolenie, to związek i następstwo pokoleń. Obowiązkiem żyjących jest dbać o los tych, którzy po nas przyjdą, zostawić im jaknajwiększe dziedzictwo. Kiepskim gospodarzem jest ten kto żyje z dnia na dzień, lub co gorzej żyje ponad stan; kto zadłuża się, zarówno w swem prywatnem życiu jak i w życiu państwa, po to, by jego dzieci uginały się pod ciężarem tych długów. Nacjonalizm nakłada poważne obowiązki także i w dziedzinie materialnej. Kapitalizacja, o ile idzie oczywiście na rachunek członków narodu, wzmaga jego potęgę.

Jeżeli uznajemy postulat kapitalizacji, nie możemy poprzestać na ogólnikowem jego sformułowaniu; nie chcemy też powtarzać banalnych już wezwań do oszczędności. Natomiast trzeba się zapytać, jakie konsekwencje płyną z tego postulatu.

Otóż najpierw zadajmy sobie pytanie: jaki system gospodarczy, jaki ustrój sprzyja kapitalizacji i w warunkach, w których żyjemy, może ją spotęgować? Innemi słowy, na pierwszy plan wysuwa się zagadnienie ustroju, opartego na własności prywatnej i kolektywizmu. A dalej pytanie drugie: jak oddziaływa na kapitalizację system fiskalny państwa, w szczególności jego system podatkowy. Odpowiedź na te pytania da nam podstawę do dalszych rozważań nad programem gospodarczym Polski.

ROMAN RYBARSKI

KOMUNIZM A MŁODZIEŻ

ORGAN CENTRALNEGO KOMITETU WYKONAWCZEGO KOMUNISTYCZNEJ PARTII POLSKI, nielegalny „Nowy Przegląd" na str. 874/5 (paginacja tego miesięcznika liczy się od początku roku) podaje urywki z przemówienia tow. Dymitrowa na VI światowym Kongresie Komunistycznej Międzynarodówki Młodzieży, obfitujące w cenne w swej szczerości wskazówki taktyczne. Warto też zapoznać się z temi metodami, w których świetle, między innemi, czemś oczywistem i zrozumiałem staje się np. masowe — jak wiadomo — oddawanie głosów komunistów podczas wyborów łódzkich na socjalistyczną „dwójkę"...

Tow. Dymitrow zadaje sobie mianowicie pytanie: co można przeciwstawić „faszyzmowi"?

I dochodzi do wniosku, że przedewszystkiem i jedynie — zjednoczenie wszystkich, dotychczas rozproszonych żywiołów antyfaszystowskich, w szczególności zaś młodzieży robotniczej. Tutaj należy zwielokrotnić aktywność młodych, w ich specjalnej, awangardowej roli.

Tow. Dymitrow sądzi — a ma niezmiernie proces myślenia ułatwiony przez wskazania i uchwały VII Kongresu Międzynarodówki Komunistycznej— że zjednoczenie żywiołów antyfaszystowskich nastąpi przez zespolenie Komunistycznych Związków Młodzieży z młodzieżą socjalistyczną.

— Jak to osiągnąć?

W tym celu należy zerwać z zastarzałą tradycją naśladowania przez Komunistyczne Z w i ą z k i młodzieży Komunistycznych P a r t y j młodzieżowej i ich sekciarskiego, izolowanego od mas, zamkniętego żywota.

„Trzeba"— kontynuuje wytrawny organizator przewrotu —„znaleźć takie drogi, takie formy i metody pracy, które umożliwią stworzenie w krajach kapitalistycznych masowych organizacyj młodzieży nowego typu, którym nie będą obce i żadne interesy życiowe młodzieży pracującej, takich organizacyj, które nie kopiując partyj, będą walczyć o w s z y s t k i e interesy młodzieży, będą wychowywać młodzież w duchu walki klasowej, internacjonalizmu proletarjackiego, w duchu marksizmu, leninizmu."

I dalszy, silniejszy akcent, z drobiazgowem, tym razem, wyszczególnieniem wielopoziomowości i wieloplanowości, różnych kierunków wciąż tego samego „frontu popularnego":

Komunistyczna Międzynarodówka Młodzieży winna „zespolić i zjednoczyć wszystkie zawodowe, kulturalne, oświatowe, sportowe organizacje młodzieży pracującej, wszystkie rewolucyjne, narodowo-rewolucyjne, narodowo-wyzwoleńcze i antyfaszystowskie organizacje młodzieżowe dla walki przeciw faszyzmowi."

Cieszy się tow. Dymitrow, że we Francji koncepcja „jednolitego frontu młodzieżowego" nie spotkała się do tej pory z silniejszym odporem: „Wszystkie sekcje Komunistycznej Międzynarodówki Młodzieży winny uczyć się na tem doświadczeniu towarzyszy francuskich."

Kończy w ten charakterystyczny, wiele dają-

cy do myślenia, sposób: „Miliony chłopców i dziewcząt, którym społeczeństwo kapitalistyczne stworzyło warunki niemożliwe do życia, którzy pozostają bądź poza ramami jakichkolwiek organizacyj, bądź też znajdują się w organizacjach, kierowanych przez wroga klasowego — oto wasi bracia i siostry, których możecie i musicie swoją uporczywą pracą przyciągnąć na stronę socjalizmu. Nie czekajcie, aż nastąpi jedność między partiami: Komunistyczną i socjaldemokratyczną oraz innemi organizacjami klasy robotniczej. Bądźcie śmiali, samodzielni i pełni inicjatywy!"

Dziś, na szczęście, rzeszy młodzieży naszej otrząsnęły się z marazmu, mając cel: wizję przyszłej, Wielkiej Polski przed oczyma. Otrząsnęły się i wymknęły z chciwych rąk agitatora komunistycznego, łowcy dusz, żerującego na miejskiej zgniliźnie.

RADWAN

KTÓŻBY PRZYPUSZCZAŁ?..

Od jednego z młodych działaczy katolickich otrzymujemy następujęce uwagi:

STARSZE POKOLENIE naogół biorąc bardzo mało wie o stanowisku młodzieży wobec żydów, a co ważniejsze, nie rozumie zgoła jego podstaw. Świadczy o tem wystąpienie p. Kossak na łamach „Prosto z mostu" (Nr. 42) w artykule zatytułowanym „Najpilniejsza sprawa". Czem ono zostało podyktowane trudno orzec. Złośliwą stronniczością, czy jakiemś dziwnem nieporozumieniem. Bądź co bądź faktem jest iż sąd o młodem pokoleniu wypadł fałszywie i krzywdząco. Zarzucono mu nienawiść oraz chęć usuwania żydów pałką i toporem. I to w chwilę po, i wbrew, zdecydowanemu oświadczeniu kol. Polkowskiego, które brzmi:

„Niech nikt nie myśli, że ideałem młodzieży w rozstrzyganiu zagadnienia żydowskiego jest pałka; gdyby tak było, inaczejby wyglądały sklepy żydowskie, bowiem dość jest rąk. Młodzież wierzy w siły narodu, więc jest pewna, że nadejdą czasy, gdy sprawę tę rozwiąże ustawa i wszyscy Polacy zajmą jedną wobec żydostwa postawę". (Cytuję dosłownie z maszynopisu przemówienia).

Czy to w wyniku szczególnej troski o żydów czy jakiegoś niedosłyszenia — przeoczenia, podaje autorka niezgodnie z prawdą intencje mówcy. Wcale bowiem nie zawierają one tezy: „Młodzież akademicka, będąca szczerze i gorąco religijną, musi właśnie dla tego nienawidzieć żydów". Jest, owszem, mowa o ich bezwzględnem zwalczaniu i rugowaniu, drogą całkiem legalną; a to jest coś zgoła innego niż nienawiść. Raczej tezę ową przeprowadza autorka sama, potem oburza się na nią jako na niekatolicką. Zresztą najsłuszniej w świecie, bo nienawiść jest grzechem, a zwalczanie elementów społecznie i gospodarczo szkodliwych, obowiązkom uświadomionych i nie biernych katolików.

Nawiasem mówiąc, przekonanie moje co do ortodoksyjnej postawy autorki zostało nieco zachwiane, i to jej własnemi słowami, które przypadkowo napotkałem i przytaczam w całości:

„...Ludzi ubogich najpierw nauczyć, aby pracę pokochali. Potem im tej pracy dostarczyć. Potem ją wynagrodzić tak, by mogli utrzymać się z niej uczciwie. Oto całe zagadnienie.

Wtedy dopiero dobrze będzie w społeczeństwie, bo każdy osobnik dojdzie do tej właśnie osobistej godności, która jest przeczuciem Boga, największą potęgą duszy, a której dotąd ani religia ani mniemana oświata wywołać nie potrafiły..."

(Juliusz Balicki i Stanisław Maykowski: „Mówią wieki": część III, strona 391, u dołu).

Czy pod słowami powyższemi nie mógłby się bez zastrzeżeń podpisać pierwszy lepszy działacz liberalno-humanitarny, żyjący jedynie mętnemi przeczuciami Boga i zwalczający religię objawioną, jako ostoję ciemnoty i zacofania?..

Ale, wracając do rzeczy... Wytworzyło się w umysłach naszych humanitarystów mniemanie że miłować bliźniego to znaczy nie stawiać oporu krzywdzącemu. Tak samo krzywdzącemu mnie, jak i moją matkę, siostrę, żonę i t. d. Inaczej: być katolikiem i kochać bliźniego, znaczy być poczciwym niedołęgą.

Nie dziwiłoby takie stanowisko u laika, ale niezrozumiałe jest u pisarki, mającej za sobą „Szaleńców Bożych", „Złotą wolność" i „Krzyżywców". Nie dziwiłoby, powtarzam, bo i cóż taki laik wie o chrześcianach i o Chrystusie? Tyle, że marli po cyrkach i arenach bez najmniejszego oporu, że się dawali dręczyć i katować, a potem rozpowszechniali się po świecie niby epidemia. O Mistrzu zaś tyle że poszedł na krzyż dobrowolnie, a w chwili powzięcia decyzji, przed całkowitą ofiarą, łamał się z sobą i modlił się, krwawym trudem uznojony.

Ale nie zdaje sobie napewno sprawy, że zasługą pierwszych chrześcian jak i wszystkich męczenników nie była śmierć, tylko wiara i chęć wytrwania przy prawdzie (Bogu), silniejsza nad instynkt życia i obawę śmierci. I nie wie, bo o tem nie pomyślał, że zwycięstwo Chrystusa to nietylko śmierć krzyżowa, ale i Zmartwychwstanie. I nie wie też, że Chrystus poniósł śmierć dobrowolnie, bo tak się broni głoszonej nauki — zespołu tez, nakazów i prawd, w które się wierzy bez wahania, i niezłomność ową znaczy się pieczęcią krwi, przelanej w męczeństwie. Ale jakże inaczej bronił tenże sam Chrystus obiektu konkretnego, materialnego jakim była świątynia jerozolimska, znieważana przez żydów...

„Począł wyrzucać sprzedających i kupujących w kościele i stoły bankierów i stołki tych, co sprzedawali gołębie przewrócił" (Ew. św. Marka rozdz. XI wiersz 15) Rozmyślnie już, aby nie urazić p. Kossak, nie cytuję słów św. Jana (r. III w. 14, 15, 16.), bo tam jest mowa o wyrzucaniu żydów za pomocą „jakoby bicza, z powrózków uczynionego"...

Prawda, że najwalniejszym nakazem ewangelicznym jest miłość. Zgoda! Ale jest też nim i roztropność, czyli między innemi chociażby i umiejętność ułożenia przedmiotów miłowania w porządek hierarchiczny. Boga nade wszystko, potem matkę i ojca, członków rodziny, przyjacioły, rodaków, bliźnich a wreszcie i nieprzyjacioły, za które trzeba się modlić i dobrze im życzyć, nie bacząc na doznane przykrości osobiste. A żydzi nie są tylko naszymi osobistymi wrogami, lecz wrogami chrystianizmu i Boga.

Z tego wynika, że my, Polacy mamy zupełne prawo więcej kochać bliźnich — Polaków niż bliźnich (czytaj: nieprzyjaciół chrystianizmu i narodu) żydów. Na tyle przynajmniej, by tym bliźnim — Polakom dawać pierwszeństwo w życiu gospodarczem, a bliźnich żydów — element noto-

rycznie i niepoprawnie szkodliwy — starać się usunąć. I napewno na tyle, by móc więcej troskać się o przyszłość młodych pokoleń polskich, zarazem katolickich, niż o to, co będą robili żydzi na emigracji, wywołanej naszą zdecydowaną postawą.

Nie tu nie ma sprzecznego z Ewangelią.

A zatem, stwierdzam z naciskiem, zwalczać ich mamy prawo i obowiązek, to też zwalczać będziemy. Dla tego właśnie, że jesteśmy katolikami, zarówno jak i dla tego, że jesteśmy troskliwymi, więcej o swoich niż obcych, Polakami. Ale nie popadniemy w nienawiść i sprzeczność z nakazami Chrystusa.

Powierza ich niejako autorka „Najpilniejszej sprawy" opiece Kościoła, że to Kościół zawsze udzielał żydom schronienia podczas prześladowań. Prawda. Ale przed czem to Kościół będzie zmuszony ochraniać żydów w Polsce i jaką pomoc im okazywać? Czy może zatrzymywać, by broń Boże nie emigrowali? Chyba nie?! Sądzę że tylko ułatwiając im emigrację. Ależ taką pomoc okażą i bojkotujący.

Rzecz jasna iż nie wszystkie wystąpienia młodych były stosowane i odpowiadały godności Wielkiego Polskiego Narodu, ale przecie zawsze tak jest, że „pierwsze koty za płoty". Zresztą i sami młodzi nazywają to tylko demonstracjami i odruchami, których nawet zaniechano, by je zastąpić czemś skuteczniejszem. Ale nawet i one nie upoważniają nikogo do publicznego, *urbi et orbi*, potępiania i zarzucaniu metod pałkarskich, już choćby z tego względu, ze nie z polskiej ręki padały trupy. Tu wspomnę ś. p. kolegów Wacławskiego i Grotkowskiego. W pałki była uzbrojona strona przeciwna, ale mimo to p. Kossak metod pałkarskich tamtym nie zarzuca. Dla czego?..

W końcu mówi autorka iż żydzi będą się bronili i użyją sposobów straszniejszych niż w Hiszpanii. A czyż to w nagrodę za naszą uprzejmość i uległość gotują nam co innego?.. Z tonu zaś artykułu widać, że autorka nie ma bodaj nawet do nich pretensji za owe sposoby, wobec których mają zblednąć wypadki hiszpańskie, Za to nie może darować narodowcom, iż oni by (przypuszczalnie) nie ucieszyli się z nagłego nawrócenia się żydów.

Rzecz pewna że żydzi nie będą się chcieli wynosić, ale właśnie dla tego my musimy chcieć tem silniej owej eksmisji, by przezwyciężyć tamto niechcenie.

W zakończeniu pragnę nadmienić, że przytoczone przez p. Kossak anegdotyczne zajście z góralem i żydem nie zawiera wcale tak znowu strasznego tragizmu. Po pierwsze, uczynionoby to samo i z nie-żydem. Po drugie: zanim solidarnie spłatano brzydkiego zresztą figla aroganckiemu żydowi, jakże piękna solidarność przejawiła się w okazaniu pomocy biedakowi góralowi! A to przeczy tezie, iż my, Polacy, potrafimy się zdobyć na jednomyślność jedynie wtedy, gdy chodzi o pokrzywdzenie żyda. Po cóż więc patrzeć czarniej niż się rzeczy mają w istocie?

I któżby przypuszczał iż najpilniejszą sprawą dla p. Kossak, jako katoliczki, okazuje się obrona żydów przed akcją odżydzania Polski, podjętą solidarnie przez młode pokolenie? J. Z.

O MATCE WŁADYSŁAWA ORKANA

Dobrym podarunkiem czasów nowych w Polsce jest to, że możemy rozpamiętywać żywoty włościanek, jak matki Kasprowicza, teraz Katarzyny Smreczyńskiej. O tej ostatniej mało kto mógłby napisać tyle co prof. Stan. Pigoń, który ś. p. Smreczyńską poznał. Pozwalamy sobie skorzystać poniżej z jego szkicu tej postaci, ogłoszonego w „Kur. Pozn". (*nr. 478*).

W PIERWSZYCH dniach października r. b. zmarła w Zakopanem w 90 roku życia Katarzyna Smreczyńska, matka Władysława Orkana (Franciszka Smerczyńskiego). Prosta góralka z zasunionej głęboko w Gorce wsi Poręby, była ona indywidualnością ze wszech miar niepospolitą, odcinającą się wyraźnie od otoczenia i czasu. Jeśli przed niedawnym czasem poświęcono na tem miejscu wspomnienie śp. Józefie Kasprowiczowej, matce Jana, godzi się udzielić trochę uwagi i śp. Smreczyńskiej.

Nie znały się z sobą dwie te matki poetów, niewiele zapewne, a może nic o sobie nie wiedziały, niemniej przez położenie społeczne, przez dolę, potrosze zapewne i przez charakter były to dusze siostrzane, dwie proste wiejskie kobiety, wobec których dłużniczką jest literatura polska.

Wypłaciła się im z długu nierówno. Kasprowicz przekazał sam potomności wspomnienie matki w „Wojtku Skibie", i w prześlicznym wierszu z „Mojego Świata". Orkan — rzecz jasna — literackiego świadectwa wdzięczności synowskiej nie zostawił, choć że w twórczości swej Matce winien prawie wszystko, wyznał sam podczas jubileuszu swego w auli Uniwersytetu Jag.

Wypłacił się jednak i on pośrednio. Z jego to przecież powodu, na podstawie jego opowiadań powstała piękna opowieść Sewera „Matka", jedno z najgłośniejszych dzieł tego pisarza. Bohaterką powieści jest właśnie Katarzyna Smreczyńska.

Przy postaci tej zatrzymał się nietylko powieściopisarz, ale i rzeźbiarz: rysy jej oblicza utrwalił w drzewie W. Brzega. Rysy niepowszednie i trudne do zapomnienia.

*

Ktokolwiek się zapędził w głębokie rozwidla Gorców, do Niedźwiedzia, do Poręby, — niesposób, żeby nie dostrzegł wśród ludności tamtejszej wyraźnego splątania typów rasowych. W okolicy, gdzie przed wiekami zmieszały się warstwy ludności tubylczej rolniczej, i przychodniej pasterskiej, co parła w te strony pogórzem aż gdzieś od Siedmiogrodu, — dwoistość ta w strukturze fizycznej mieszkańców tłumaczy się naturalnie. Obok niskich, krępych, o twarzach owalnych, o dobrotliwych siwych oczach — inni, rośli o twarzach pociągłych, smagli, czarnowłosi i czarnoocy. Społecznie zlali się oni już dziś całkowicie. Do tamtych należał ojciec, do tych matka Orkana. Przedstawiała ona wspaniały typ rasy dynarskiej. Było coś urzekającego prasurowością i powagą, aż groźnego w jej twarzy; powiedziałbyś: orlica wśród gołębi.

Niepospolita ta postać niepospolitą kryła duszę.

Wizerunek jej w powieści Sewera — trzeba powiedzieć — nie ze wszystkiem jest rzetelny.

Pisarz dobrze uchwycił i oddał materialne warunki środowiska, w którem żyła Matka. Chude zagonki kamienistej gleby, rozciągnięte na północnym stoku, tuż pod szczytem Gronia; chata, w której okna najwcześniej zagląda zima, a najpóźniej wiosna, ale skąd zarazem oko panuje nad rozległą dalečzyzną pól; szara, przygniatająca nędza, towarzyszka nieodstępna dnia powszedniego, — wszystko to doszło do wymownego wyrazu w powieści.

Dobrze też i wiernie zarysowany został charakter Matki, śmiałej w marzeniu, zawziętej i nieulękłej wobec przeszód i trudności materialnych. Wyniósłszy — jak dziś wiemy — z wczesnego pchnięcia, odebranego od religijnego entuzjasty, „apostoła Podhala", ks. Błaszyńskiego z Sidziny, głęboki szacunek dla wyższej oświaty, krzewiła ją sama, dzieląc się z dziećmi sąsiadów zdobytą w samouctwie sztuka czytania, zanim jeszcze szkoła dotarła w tamte strony. Dwom zaś synom swoim, przezwyciężając trudności jak największe, zawzięła się umożliwić wyższe nauki. Kiedy już zaciętością i trudem niemałym doprowadziła do tego, że obaj chwycili się szkół w mieście, — wieleż to razy pieszo, z tobołem na plecach, przemierzyła, nocując po drodze byle gdzie i byle jak, długi gościniec między Niedźwiedziem a Krakowem, śpiesząc do dzieci z żywością. Te wyprawy wymowniej może jeszcze niż pióro Sewera, bo z całą prostotą bezpośredniości opisała sama we fragmentach wspomnień drukowanych swego czasu (1908 r). w lwowskiej „Zorzy".

Smreczyńska była bowiem pisarką, a podobnoś więcej jeszcze narratorką, niepospolitą. O jej ciekawości do literatury, o upodobaniu w utworach Słowackiego, wiemy już od Sewera. Tam też opowiedziano, jak żywo uczestniczyła ona w pierwiastkowej twórczości literackiej młodszego syna; wspomniano, jak trafnie poprawiła wiersz jego, umieszczony na czele pierwszego zbiorku opowiadań „Nowele". Szczegół ten wzięty jest najwierniej z rzeczywistości: łatwo się o tem przekonać, oglądając w Muzeum Tatrzańskiem w Zakopanem autograf owego wiersza, tak właśnie poprawiony przez matkę poety.

Nie uwydatnił wszelako Sewer należycie, uwydatnić zresztą podówczas jeszcze nie mógł, czem była matka dla dalszej twórczości Orkana. Z całą słusznością mógłby on powiedzieć o sobie, modyfikując nieco słowa poety: *„von Mutter hab ich die Statur und Lust zu Fabulieren"*. Zresztą nietylko *„die Lust"*. Obdarzona, jak się rzekło, wybitnym talentem opowiadania, ogarniając żywą pamięcią duży szmat wydarzeń okolicznych, — poddawała ona synowi tematy, wątki, nieraz nawet formę utworów. Proste zestawienie nowel Orkana z r. 1897 z pomieszczonem w tymże tomie wydania zbiorowego autentycznem opowiadaniem Smreczyńskiej p. t. „Prządki" może wskazać naocznie ową jednorodność źródła, punktu widzenia, nawet sposobu kompozycji. Z utworów późniejszych Orkana jedno z najwyższych jego dokonań artystyczych, „Pomór", tragiczna opowieść z lat głodowych po 1846 r., w znacznym stopniu wyrosła z inspiracji matki, z wątków przez nią zapamiętanych z tradycji i przekazanych synowi. Istną prawdę powiedział Orkan w r. 1928, że czego dokonał w piśmiennictwie, to — po Bogu — zawdzięcza przedewszystkiem Matce.

Pod jednym wszelako względem Sewer nie dociągnął wizerunku Matki, a nawet go w sposób przykry wypaczył. Rozlewny, uczuciowo niegłęboki, a inteligencko zbałamucony pisarz nie wyczuł w tej prostej kobiecie wiejskiej żywego w niej i głębokiego nurtu życia religijnego. A przynajmniej nie odczuł go i nie ujął należycie. Wiadomo dowodnie, że Smreczyńska nie była zadowolona z powieści Sewera; była nią w pewnym sensie zgorszona, urażona w głębi swej natury. Powieść ta fałszowała w sposób bolesny dla pierwowzoru pobudki religijne bohaterki.

Łatwo przypomnieć wiązanie konfliktu w tej powieści. Woli matki, by i młodszego także syna oddać do szkół, przeciwstawia się tam twardo ojciec, pragnący mieć zeń pomocnika, potem zastępcę w pracy na roli. Wtedy to matka, przemawiając się z mężem, odwołuje się coś jakby do sądu Bożego, czeka na znak z wyżej, na cud, i jest przeświadczona, że Bóg cud taki dla niej sprawi. Jakoż ten znak przychodzi. Chłopiec został uratowany cudownym prawie sposobem, gdy, goniąc zboczem leśnem woły, dostał się pod pędzący ze szczytu zwał spuszczonych w dolinę pni sosnowych.

W ten sposób ujmując rzecz, pisarz-inteligent nie wyczuł niewłaściwości, fałszu religijnego w swych motywacjach psychologicznych. Ale wyczuła go tam głęboko religijna kobieta wiejska o prawem i czułem sumieniu. Przecież tak stawiać sprawę — to znaczy kusić Pana Boga o cud, to znaczy wpaść w grzech śmiertelny. Pisarz nie spostrzegł się, że wprowadził fałsz psychologiczny, skoro przedstawiał duszę kobiecą wyższą, choć poprostu, ale głęboko po katolicku, wierzącą i żyjącą. Do tego grzechu Smreczyńska się nie poczuwała. Jakżeż mógł pisarz dopuścić się wobec niej tak bolesnej niesprawiedliwości, tak krzywdząco wypaczyć jej wizerunek duchowy! Pocóż ją osławił przed ludźmi bogobojnymi? Nie trzeba wiele dowodzić, że postać Matki, chybiona w rysie tak fundamentalnym, do prawdy psychologicznej pretensji mieć nie może, jest w samej nawet konstrukcji powieściowej spaczona. Smreczyńska subtelnem wyczuciem, jak kiedyś w wierszu syna, tak teraz w dziele wybitnego pisarza, musiała uwydatnić — poza osobistą krzywdą moralną — skazę artystyczną. To daje miarę tej duszy.

Owa właśnie głęboka, żarliwa religijność była skarbem w życiu Smreczyńskiej nieprzeszacowanym. Ona jej dała w potocznem obcowaniu powagę iście matriarchalną, i to głębokie mądre spojrzenie na świat, którem ta prosta kobieta ujmowała i wrost onieśmielała ludzi z wysoką nawet kulturą umysłową, jacy się przewijali przez jej dom za życia syna. W religijności tej znajdowała też ostoję w przeróżnych nieszczęściach, jakich jej życie twarde nie szczędziło. Wczesna śmierć męża zrzuciła bowiem wyłącznie na jej harde barki ciężar gospodarki na kamienistej, nieużytej roli. I ciężar ten wypadło jej dźwigać przez wiele, wiele lat.

A syn młodszy, — dawna radość jej serca i chluba rodu? I z synem bywało rozmaicie, nie wszystko w jego życiu szło po linii jej prostej, surowej, religijnie rygorystycznej duszy. Skarb jej miłości przecież się nie wyczerpał. Na ostatnie lata wypadło jej rzucić ojcowiznę; zamieszkała więc w Zakopanem, blisko kościoła, i modlitwą wypełniła pozostałe dni trudnego żywota. W intencjach modlitw tych zbawienie wieczne duszy syna zajmowało podobnoś miejsce przednie. Była Matką, w miłości wierną do ostatka.

Kraków STANISŁAW PIGOŃ

NA WIDOWNI

Uwagi o istocie fejletonu publicystycznego. — Pozycja jego w piśmiennictwie. — Podstawy psychologiczne. — Rola w systemie organizowania myśli zbiorowej.—Szkoła narodowa.

PORUSZYŁEM niedawno w „Kurierze Poznańskim” zagadnienie „fejletonu”, jako rodzaju publicystyki. Sposobność nastręczyła się z powodu zbioru fejletonów „Stawiam bańki” Zygmunta Nowakowskiego, jednego z najcelniejszych dzisiaj fejletonistów. Miałem na myśli publicystykę, związaną z życiem bieżącem. Ponieważ czytelnicy w paru listach wyrazili wątpliwość co do słuszności definicji fejletonu, chciałbym do tego, co poprzednio napisałem, dorzucić parę słów dodatkowych.

Jest to rodzaj literacki, ale w historii literatury o nim się nie pisze, odrzuca się ten rodzaj poza literaturę, jako publicystykę. Niewątpliwie jest to publicystyka, ale przecież i ona należy w jakiś sposób do piśmiennictwa. Czyżby ten rodzaj twórczości nigdzie nie był notowany, opisany, zbadany? Czyżby nic nie znaczył?

O roli publicystyki wogóle w dziejach najnowszych piśmiennictwa pisał Piotr Chmielowski, ale fejletonem, jako specjalną formą literatury, chyba nikt się nie zajmował. I to jest tem osobliwsze, że istnieje szereg nazwisk, które zasłynęły i zostały w pamięci potomnych tylko dzięki fejletonowi. Pisanie fejletonów nie tylko nie zaszkodziło sławie Sienkiewicza i Prusa, ale kto wie, czy ich sławy nie utrwaliły te właśnie fejletony, a przedewszystkiem czy dla ich talentu powieściopisarskiego nie były szkołą?

Nie będzie dobym powieściopisarzem, kto nie spenetrował głębi życia okiem publicysty i tylko się bawi zjawiskami, a nie wie, jak powinno być. Dla czego powieść nagół tak lekko jest traktowana, dla czego tylko niektórzy twórcy dostępują miana pisarzy narodowych? Dla tego, że powieść zwykle nie dba o prawdę, hołdując trybunałom motochu lub kapliczek literackich, bez należytego poczucia odpowiedzialności przed trybunałem prawdy. Ostrogi rycerza prawdy zdobywa ten powieściopisarz, który swoją znajomością życia potrafi wykazać się w odpowiedzialnym przed opinią fejletonie.

Wielką byłoby krzywdą dla literatury polskiej, gdybyśmy z niej za to, że pisali fejletony, wykreślili: Prusa, Sienkiewicza, Perzyńskiego, Klemensa Szaniawskiego Jana Lama.

Nowakowskiego, uważam za typowego przedstawiciela polskiego fejletonu. Na czem jednak polega typowość fejletonu? Utarł się w dziennikarstwie — pod terrorem hasła poczytności — pogląd, że fejletonu istota polega na wesołości. Ale to pogląd jednostronny. Oczywiście im weselej, tem lepiej, wszakże istota leży w tem, aby to była publicystyka, to znaczy fejletoniście musi zależeć na wypowiedzeniu jakiejś prawdy. Pogląd, że o zabawę tylko chodzi, jest równie błędny, jak i ten, że fejletonista musi być zgryźliwy, tetryczyć, tylko satyrą się posiłkować, lub tylko ironią. To wszystko są sposoby, zależne od temperamentu i nieraz od tematu, ale istota jest inna.

Fejletonista jest od tych rzeczy, które wymagają wnikania w głąb życia przy pomocy intuicji. To go zbliża do powieściopisarza, specjalnie zaś — jeśli chodzi o formę — do nowelisty.

Publicystyka w ścisłem znaczeniu operuje faktami i logiką w sposób naukowy, zbliża ją to mianowicie do ekspertyzy naukowej. Ale nie wszystko w życiu jest dostępne „szkiełku i oku”. Wynika to stąd, że w świecie, przez człowieka tworzonym, wszystko z sobą jest splecione, nićmi niewidzialnemi nieraz zszyte, bo nie fizyka tu rządzi, lecz duch, który wszystko przenika i organizuje w jedną całość. A końce wszystkiego są nie gdzieindziej, jeno w człowieku.

O tajemnicę tego życia pytać trzeba człowieka, żeby powiedział, jak ją w duszy swej rozpoznaje. Nie wystarczy specjalista danego zawodu, nie wystarczy filozof, zajęty algebrą myślenia. Trzeba pytać o to człowieka żywego, odczuwającego życie bezpośrednio, obdarzonego intuicją.

— — — — — — — — — — — —

Gdyby można było inaczej życie od wewnątrz poznawać, byłaby niepotrzebna sztuka wogóle, specjalnie zaś poezja, dramat i powieść. Twórczość poetycka służy tej samej potrzebie poznawania życia, której poświęca się pisarz „fejletonowy”, usiłując obudzić w czytelnikach wyobraźnię dziejącej się w głębi społeczeństwa rzeczywistości. Z tą różnicą, że artysta utrwala zdobytą intuicyjnie prawdę w symbolu, publicysta zaś organizuje świadomość społeczeństwa dla celów praktycznych.

Bardziej jednak różni się tem, że gdy artysta gubi fakty indywidualne, aby je uogólnić, to publicysta na fakty konkretne, bieżące, imienne nalega, z nich wyciąga wnioski, o te wnioski walczy. Jest bojownikiam pewnych prawd, ponoszącym za nie wobec opinii odpowiedzialność. To jest duża różnica. Talent ma ten sam, co nowelista, ale odpowiedzialność ponosi moralną jako działacz społeczny; nie chroni go prawo neutralności i nietykalności, przysługujące artyście. Artysta widzi, fejletonista sądzi i daje wskazania. I według tego sam jest sądzony, pozostaje pod kontrolą opinii publicznej, którą kieruje.

Dla tego też wartość fejletonisty jest tem większa, im żywotniejsze prawdy wyjawia, a przy tem im większą odznacza się odwagą cywilną.

Dla czego w Polsce tak wiele talentów publicystycznych się marnuje? Głównie dla tego, że są krępowani w dochodzeniu prawdy oportunizmem własnym lub wydawców. Najczęściej kończy się na tem, że przenoszą swoją fejletonistykę na pobliskie dziedziny pisarstwa, gdzie żywa prawda nie obawiązuje, aby tylko nie tykać miejsc bolących i nie narażać się na walkę. Pełno więc mamy w prasie fejletonów niezwykle utalentowanych, oddających się pyrotechnice słowa rozweselającego, ale nie parzącego.

Nowakowskiego popularność oraz istotna wartość pisarska polega na tem, że temu pisarzowi na czemś zależy. Świat dziennikarski i zblazowanej drukiem publiczności nie zdaje sobie sprawy z tego, jak wielka to jest kwalifikacja, gdy się o pisarzu powie: „jemu na czemś znleży”. Bez takich pisarzy prawda nie wyjrzałaby na świat Boży.

Z Nowakowskim w niejednej sprawie się różnię, ale — poza wielkiemi zaletami literackiemi — cenię w nim to, że nie boi się prawdy. Pomimo dużej wrażliwości nie boi się krwi, gdy

„stawia bańki" (cięte!) i co najważniejsze — zależy mu na tem, aby użyć chorobie.

Skłonny jestem utrzymywać, że fejleton (w tem znaczeniu, które wyłuszczyłem) jest probierzem kultury literackiej danego kraju. A ponieważ według poziomu tej kultury poznaje się stan dojrzałości umysłowej społeczeństwa, stąd wniosek, że fejleton publicystyczny należy do centralnych zjawisk literatury i z tego względu powinien być — na równi z pokrewną mu wolną krytyką literacką — pieczołowicie hodowany.

Nowakowski wiedzie swój rodowód od Bol. Prusa, który osiągnął najwyższy poziom fejletonu przez największe jego pogłębienie. Humor jest właściwością ludzi, obejmujących wzrokiem wielkie kontrasty w życiu. Ale te kontrasty są tak wielkie, że aż serce boli, stąd melancholia w światłocieniu i pasja pogłębienia prawdy.

Oby nigdy nie zginęła w literaturze ta potrzeba głębokiego leczenia społeczeństwa, które cechowała czasy Prusa! I bańki są potrzebne i prześwietlanie serca, i nieskończone dla niego ofiary ze strony talentów, zdolnych do wtajemniczania się w życie.

Uwagi powyższe zmierzają w konkluzji do morału, że fejleton publicystyczny powinien być w dziennikarstwie pielęgnowany. Racja jego bytu i pożytku jest bezsporna.

Życie społeczeństwa nie jest sprawą jakiegoś procesu mechanicznego, dającego się obliczyć metodą przyrodniczą lub matematycznie logiczną. Wymaga ono wziernika pewnej intuicji, jak wszystkie zjawiska Życia, o których się przecież mówi w filozofii, że kryją w swej podstawie tajemnicę. Podstawą życia zbiorowego jest duch ludzki, niezmiernie komplikujący się w swych funkcjach społecznych. To, co nazywamy życiem społeczeństwa, nie jest prostem zsumowaniem duchowości jednostek, lecz czemś nowem, funkcjonującem według praw, które bada cały szereg nauk społecznych z psychologią i historią.

Jednakże duch ludzki jest jeden, ten co w jednostce. On jest łącznikiem wszystkich dziedzin życia społecznego. Wie o tem najlepiej dziennikarstwo, mające do czynienia z indywidualnemi zdarzeniami życia, nie tylko z prawami, które tem życiem rządzą, a ktoremi zajmuje się nauka.

Publicystyka stoi pośrodku między nauką a dziennikarstwem reportażowem, żywiołem jednak publicystyki jest materiał żywy, przez dziennikarstwo dostarczany.

Najmądrzejszy publicysta, uzbrojony metodami naukowemi, nie poradzi sobie z tym materiałem i w sprawach życia trafiać będzie kulą w płot, jeśli nie będzie miał daru wyczuwania w każdem drobnem zdarzeniu związku z życiem całości zbiorowej, jeśli nie potrafi spojrzeć na zjawisko w świetle jakiegoś prawa, któremu to życie podlega.

Dobra szkoła dziennikarska powinna bardzo dbać o ten punkt styczny między życiem bieżącem we wszystkich jego objawach a publicystyką, jako instruktorstwem, rezonerstwem, proroctwem i pedagogją. W publicystyce nie ma miejsca dla doktryny. Albowiem życie zbiorowe nie jest schematem algebraicznym, lecz arytmetyką, operującą konkretnemi wielkościami, o których jednak pamiętać trzeba, że są w przemożnem władaniu „*imponderabiliów*". Wszędzie bowiem decydującym czynnikiem jest psychika, nie materia. Do poznawania zaś *imponderabiliów* potrzebna jest intuicja taka, jaką rozporządzają poeci (powieściopisarze), biorący rzeczy od wewnątrz.

Intuicja może błądzić, ale czy myśl naukowa nigdy nie błądzi? Wielką wszakże siłą myśli jest samo szukanie, zwłaszcza gdy ono jest pod kontrolą wyszkolonej myśli publicystycznej.

Głównem zadaniem intuicyjnego wczuwania się we wnętrze życia zbiorowego jest odnajdywanie związków między poszczególnemi dziedzinami życia. Systematyka życia na t. zw. życie wewnętrzne i zawodowe, kulturalne i praktyczne, polityczne i narodowe itd. ma swoje dogodności i jest konieczna w podziale prac, ale może być zgubna jako doktryna i rutyna.

Publicysta nie może na chwilę zapominać o tem, że wszystko to jest jedną całością, bo jeden tylko jest człowiek na wszystko i jedna organizacja duchowa całości. Tą najogólniejszą organizacją duchową jest cywilizacja narodu, krótko mówiąc — naród.

Niema polityka, ani publicysty w większym stylu, którzyby nie czuli potrzeby dobrania się do *imponderabiliów*, do tajemnic duchowych, kryjących się we wnętrzu społeczeństwa. Nie wystarcza im sshemat, czują potrzebę zetknięcia się osobistego z konkretnemi zjawiskami, aby dotrzeć do ich tętna. Otóż to, co tak często nazywamy „tętnem", dostępne jest tylko ludziom na nie wrażliwym, mającym w porządku własne tętno, miarodajne dla psychiki społeczeństwa. Ludzi obdarzonych darem takiej symbiozy z otoczeniem, nazywamy ludźmi utalentowanymi, o ile umieją dać swemu odczuciu wyraz.

Jest w tem miara subiektywna, ale niema innej dla całej kategorii procesów wewnętrznych, a obowiązująca moralnie innych — oczywiście — o tyle, o ile publicysta budzi zaufanie do swego charakteru, do swej szczerości. Zdobywa zaś to zaufanie odwagą myślenia. Kto tę odwagę czerpie z głębokiej potrzeby docierania do dna prawdy, ten tej potrzeby nie zamieni na wątpliwe korzyści kłamstwa.

Politycy, mający ambicje twórcze, nie mogą nie być publicystami. Ale są sprawy i momenty, kiedy uciekają się do fejletonu, mianowicie, kiedy chcą wypowiedzieć prawdy, nie poddające się ścisłemu udokomentowaniu, a jednak są istotne. Patrzyłem przed wojną na Dmowskiego, z jakiem upodobaniem uprawiał przez pewien czas fejleton (w „Słowie Polskiem" jako „Diego"). Wypowiadał tam spostrzeżenia i uwagi, na które w traktatach politycznych nie znalazłby formy. Nie zdziwiłbym się, gdyby tego typu publicysta nie uznał, że dla zapuszczenia w życie jeszcze głębszej sondy, potrzebna mu jest forma wypowiedzenia się w studium powieściowem.

Próżnoby żądał ktoś odemnię recepty na fejleton, jako na formę. Wskazać mogę tylko, co powyżej pobieżnie zrobiłem, na czem polega jego psychologia. I chciałbym, aby młodzież, szukająca szkół dziennikarskich dla swych talentów publicystycznych, uwzględniła te uwagi. Wyrobić oni mogą te talenty jedynie w szkole współżycia szczerego, bez doktryn, z narodem. Naród bowiem jest najpełniejszą organizacją psychiki, wychowującej człowieka wtajemniczonego w życie.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

NIEDZIELNY NUMER „KURIERA POZNAŃSKIEGO" (nr. 484) nosi na czele napis: „Lotnictwu polskiemu, a szczególnie pułkowi lotniczemu w Poznaniu numer niniejszy wraz z eskadrą „Chrobrych" poświęcamy".

Piękne to wydarzenie w życiu prasy narodowej. Przed pięciu miesiącami „Kurier Poznański" zwrócił się z apelem do czytelników, aby drogą składek zafundowali dla armii narodowej samolot wojskowy. W atmosferze patriotycznej wydawnictwa myśl ta pięknie się przyjęła na glebie wielkopolskiej. Składki dosięgły dotychczas 83.000 zł. Z tych pieniędzy — jak głosi sprawozdanie — ufundowano 3 samoloty typu RWD-8 (67.680 zł.), oraz samochód terenowy (5.250 zł.). Samoloty wykonała fabryka samolotów w Warszawie, samochód dostarczyła firma „Polski Fiat" w Poznaniu. Pozostała nadwyżka 10.000 zł. da podstawę do ufundowania czwartego samolotu, bo składki płyną dalej.

Eskadra samolotów „Kuriera Poznańskiego" otrzymała na chrzcie pułkowym w dn. 18 października nazwę eskadry Chrobrego (Chrobry I. II. III.).

Słusznie redakcja na czele numeru pisze:

„Eskadra „Chrobrych" — to wyraz zbiorowej woli społeczeństwa wielkopolskiego, to symbol duszy narodu polskiego, jego pragnień i trosk, jego ofiarności, entuzjazmu i umiłowań, które zbiegają się w jednem potężnem dążeniu: do Polski wielkiej, potężnej, do armii jej, owej „wyciągniętej siły obronnej i porządnej z ogólnej siły narodu". Eskadra „Chrobrych" daje świadectwo prawdzie, że gdy idzie o tę wielką rzecz, o Polskę i jej armię, naród nie zna granic swej ofiarności".

W niedzielę 18 b. m. odbyła się na Ławicy uroczystość wojskowa z udziałem przedstawicieli wydawnictwa. Jednocześnie w Poznaniu odbyło się uroczyste nabożeństwo, celebrowane przez ks. Steinmetza, z kazaniem ks. prałata Prądzyńskiego. Całe miasto wzięło w niem udział.

Dodać należy, że w oficynie wydawniczej pod firmą Drukarnia Polska, oprócz „Kuriera Poznańskiego", największego dziś dziennika w Polsce, wychodzi szereg innych, mianowicie: „Orędownik", „Wielkopolanin", „Pomorzanin", „Ilustracja Polska", „Nowiny Poświąteczne". Na czele tego kompleksu stoją: dyrektor Roman Leitgeber i dr. Marian Seyda, b. minister, potem senator, autor znakomitego dzieła historycznego „Polska na przełomie".

O wielkim wpływie tych wydawnictw na opinię społeczeństwa wielkopolskiego świadczy sukces, osiągnięty w tej lotniczej inicjatywie. Z drugiej strony w tej jednomyślności widzieć trzeba dowód czystości tonu patriotycznego tej dzielnicy, nie zarażonej indeferentyzmem i cynizmem żywiołów obcych dla duszy polskiej. Jest to społeczeństwo, realizujące bezpośrednio swoje uczucia i myśli w dziełach konkretnych, przy jaknajmniejszem zużyciu frazesu i pozy. Wdzięczne to pole pracy dla prasy narodowej, nikt tam bowiem nie obywa się bez dziennika (własnego), traktowanego serio w charakterze instruktora.

ROSJA W NIEWOLI ŻYDOWSKIEJ. Wstydliwie ukrywane spisy dygnitarzy rosyjskich są już w znacznej mierze znane. Przeważnie jednak dygnitarze są maskowani brzmiącemi po rosyjsku nazwiskami. „Merkuriusz" warszawski w ostatnim zeszycie podał nazwiska pootwierane. Pokazuje się że są to w znacznej przewadze żydzi.

Oto jak wygląda rząd sowiecki. Komisarz spraw zagranicznych Litwinow nazywa się właściwie Meier-Wałach-Finkelstein, komisarzem handlu wewn. jest Rosenholc, zagranicznego Weizer Izrael, komunikacji — Kaganowicz, komisarzem gospodarstwa (Sowchozy) — Kalmanowicz Mojżesz, lekkiego przemysłu Lubimow Izydor (Kozelski), tak samo żydami są komisarze zdrowia publ., kontroli, poczty i telegrafu. Jeden komisarz spraw wewnętrznych Jeżow jest rosjaninem. Ale pierwszy jego zastępca—żyd.

Wśród 12 zastępców komisarzy 11 jest żydów. W urzędzie bezpieczeństwa na 10 dygnitarzy — 9 żydów. W zarządzie obozów koncentracyjnych na 10 żydów 9. Na 20 naczelników w zarządzie komisariatów prowincjonalnych 19 żydów. Itd.

Obliczono, że spośród dyplomatów sowieckich, rozrzuconych po światowych placówkach, 14 jest żydów, 1 podejrzany, 3 Ormian i 8 Rosjan, oczywiście odpowiednio strzeżonych przez sekretarzy i agentów żydów. W wojsku sieć żydowska jest równie gęsta. .

Polacy mają nad czem się zastanowić. Ogromne państwo słowiańskie znalazło się w niewoli u żydów. Okupowali Rosję bez pomocy swego wojska, posługując się jedynie trucizną moralną.

Ma się nad czem zastanowić świat cały, któremu Sowiety żydowskie grożą zarazą i pożogą. Trudno się dziwić Polsce, że tak ciężkie ma początki po odrodzeniu państwa, że tak rozbita wewnętrznie, gdy taka masa w niej żydów, sprzymierzeńców Bolszewii.

NA ŚLĄSKU OPOLSKIM

PO dłuższej tułaczce za granicą Śląska, znalazłem się znów w tej części Polski. Postanowiłem zwiedzić okręg opolski. W niedzielę rano, przy świeżem powietrzu po deszczu, i słonecznej pogodzie przekraczam granicę. Dawniej do Niemiec przechodziło się bez przeszkód. Pokazywało się posterunkowemu kartę cyrkulacyjną i droga była wolna. Dzisiaj ten sam policjant, co dawniej, prosi mnie do urzędu celnego i poleca opiece urzędnika. Na pytanie: „co posiadam"? — odpowiadam: nic. Prosi o papiery, przegląda skrupulatnie i grzecznie listy, zagląda w kieszenie, czy nie mam czeków alko jakiejś waluty. Wtem nadziewa się na kilka groszy, jakie miałem przy sobie. „Jakto? Mówi Pan, że nic nie ma. A to co? To Pan nie wie, że trzeba zgłaszać, ile się ma pieniędzy ze sobą?" Miałem wszystkiego w fenigach niemieckich i polskich groszach 3 złote. Grzecznie wyjaśnia mi wobec tego urzędnik, że dopiero niedawno wsadzono do aresztu jednego, który wiózł z sobą 5 marek miemieckich i 10 złotych. Mówi dalej, że dobrze uczyniono wydając ustawę dewizową, aczkolwiek trochę późno. Że wprawdzie lepiej późno, niż nigdy. Ale, że trzeba ją roztoczyć nad wszystkimi, nietylko nad tymi,

co jedne 10 złotych z sobą wożą i nie tylko nad osobami cywilnemi. W niemieckiej komorze celnej lakoniczne pytanie: *führen Sie was mit?*—i jestem w niemieckiej części Górnego Śląska.

Wygląd ulicy i domów ten sam, co po polskioj stronie. Bodajże nawet polska ulica, którą przed chwilą jeszcze przeszedłem, była bardziej czysta i milsza dla oka. I tu i tam pusto. Kilka niewiast „po pańsku" ubranych śpieszy do kościoła. Niedzielna powaga otula miasto. Uroczysty spokój potęgują potężne głosy spiżowych doboszy. Poważnym, równym rytmem spraszają wiernych do kościoła. Iście świąteczny nastrój. Jestem szczęśliwy, że wogóle jest taki dzień: niedziela.

W tym nastroju przebiegam place i ulice. Dziwnie odczuwam ten bezruch w miejscach, które ostatni raz oglądałem upstrzone lasem sztandarów i przepełnione manifestującemi tłumami. Wśród czerwonych gigantycznych bloków niema nikogo. Jakby gdzieś wyciągnięto. Wreszcie dochodzę do celu. Jestem na dworcu. Wczesna pora, więc ludzi mało. Prawie sami szturmowcy, wyekwipowani w plecaki, jak na wojnę, dużo młodzieży hitlerowskiej, z gołemi kolanami, również dokądś się wybierają na wycieczkę. Są w grupach, lub po dwu spiskują po kątach dworca. Kupuję bilet. Wspaniale się składa. W niedzielę w całych Niemczech można uzyskać t. zw. *Sonntagsfahrkarte*. Jest to bilet „tam i nazad", jak mówią ślązacy. Kosztuje o $^1/_3$ mniej niż normalny. Niezłe urządzenie, zwiększa wydatnie ruch kolejowy w niedzielę.

W oczekiwaniu na nadejście pociągu śledzę pstrokaciznę zalepionych murów. Między reklamami, między nawoływaniami do ofiarności na rzecz matek i dzieci niemieckich i na „*Wintershilfs werck*" podpada mi bardzo efektowna mapa Europy pod tytułem „*das schöne Deutschland*" Jest to niezmiernie pomysłowa karta propagandy turystyki. Znalazłem na niej również i Polskę. W jednym kolorze, przecięta jakiemiś dziwnemi, białemi paseczkami. Przypominam sobie, że już gdzieś, kiedyś podobną rzecz widziałem. Była to także mapa, z podobnemi liniami tylko w kolorze czarnym. Nie mogę zrozumieć, co one oznaczają. Zaznaczę tu tylko, że opasują one Pomorze, Poznańskie i Górny Śląsk. Naprawdę nie wiem, co oni chcieli tem wyrazić. Kręcę się dalej po olbrzymim *hall*'u. Słyszę grupkę mężczyzn i kobiet omawiającą w polskim języku rozkład jazdy. Nie są w mundurach hitlerowskich! Znać fabryczni robotnicy.

Z okna wagonu — krajobraz nie przedstawia nic nowego. Od czasu do czasu jednostajnie wyglądające osiedla. Domy z czerwonej cegły z czerwonymi dachówkami stoją w wyrównanych szeregach. To osławione „*Siedlungen*". Mają zaspokoić głód mieszkaniowy. Wydają mi się trochę ciasne. Przypominają trochę budowane przez bezrobotnych w Szamotułach osady. Nasze przestronniejsze są i dają więcej powietrza. Nie wiem, czy położyć tutejsze ścieśnienie na karb braku miejsca.

Dworzec. Ciężki styl koszarowy, jak wszystkie publiczne budowle w Niemczech. Na białem tle gotyckie litery wskazują wyjścia do miasta. Żadnych innych reklam lub napisów. Wychodzę na miasto. Mimo godziny późniejszej i miasta większego, ożywienie ruchu nieznaczne. Przy wyjściu z dworca na widocznym miejscu, w czapce, na której napisane „*Ausuknft*", stoi informator. Stosując się do jego pouczeń znajduję miejsce, gdzie mam czekać na autobus. Punktualnie o oznaczonej godzinie nadjeżdża, punktualnie przyjeżdża na miejsce. Jedziemy asfaltową szosą wcale nie tak dobrą, jakby ktoś mógł przypuszczać. Za to z okna patrzę na równolegle z nami snującą się wstęgę „*Reichsautobahn*". Szosa ta przeznaczona wyłącznie dla ruchn samochodowego niedługo ma być oddana do użytku. Na oko zachwyca. Niemcy mówią o niej w superlatywach i z dumą, dziś można tylko tyle o niej powiedzieć, że buduje się ją ze starannością i dokładnością. Co chwila widzi się grupki ludzi, rzędem, miedzą, dążących na nabożeństwo. Są to wsiowi. Kobiety rzadko w strojach chłopskich, ubrane bardzo kolorowo. Kult wiary katolickiej nie zmalał tu nic. Wieś — jak się zaraz przekonamy— myśli po katolicku i mówi po polsku.

Przybywam do kresu mej wycieczki, do parowej cegielni. Ani śladu schludności niemieckiej. Tutaj się przekonałem, że taki kram jaki pan. Cegielnie naogół wszystkie wywierają wrażenie czegoś nieukończonego, jakby się dopiero budowały. To też ten nieład zrozumiały, mniej, mnie zdziwił. Gospodarstwo, dom, chudoba, były zaprzeczeniem pojęcia porządku domowego. Rozmawiałem z ludźmi z załogi. Mówią wszyscy po polsku, prócz właściciela i szoferów. Mocno jestem ździwiony, gdy wysuwa się z garażu kabriolet „DKW-35" i właściciel wyjaśnił mi, że wolał sobie sprawić, za 3000 marek nowy wóz i nie płacić żadnego podatku, niż jeździć na starym gracie i wciąż opłacać koszta reperacji i podatki.

W Niemczech bowiem skasowano podatki od nowozakupionych samochodów. Nie płaci się ani grosza. Teraz dopiero pojąłem, skąd na ulicach prowincji niemieckiej więcej samochodów, niż u nas w stolicy.

W rozmowie z właścicielem cegielni poruszono kwestję żydowską. Z zajadłością miotał przekleństwami na tych „psów" (*Schweinhunde* ich nazywał). Później dowiedziałem się, że najlepsze interesy robi z żydami, że od nich... ma pożyczki. Nie wiem, czy to wyrachowanie, czy obłuda?!

Śląsk, 6.XI.36 r, ERYK KRZYKAWSKI

NAUKA i LITERATURA

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Artykuł Władysława Jabłonowskiego p. t. „Z okazji jubileuszu Karola Maurras'a", drukowany w „Myśli Narodowej" (30-go sierpnia r. b.) został w całości przedrukowany w piśmie nacjonalistów francuskich „*L'Action Française*" z dn. 15-go października r. b.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Z pracowni naukowej niestrudzonego historyka, Władysława Konopczyńskiego wyjdzie niebawem wielkie dwutomowe dzieło: „Dzieje Polski Nowożytnej, 1506—1795". Będzie to ważne wydarzenie w dziejach historiografii polskiej.

*

Nakładem Polskiej Akademii Umiejętności ukazały się oddawna oczekiwane pamiętniki Zygmunta Miłkowskiego (T. T. Jeża). Tytuł: „Od kolebki przez życie. Wspomnienia". Narazie wyszły dwa tomy, obejmujące czas od 1824 do 1863 r.

Do druku przygotował je bibliotekarz Rapperswilski Adam Lewak. Wstępem poprzedził prof. Al. Brückner. Tom I

obejmuje str. XL i 474, t. II str. 480. Wnosić można, że wyjdzie jeszcze tylko tom III, doprowadzający wspomnienia do r. 1880. Jakoby Jeż na tej dacie rzecz urwał. Wielka szkoda.

O pamiętnikach Miłkowskiego napisze niebawem w „Myśli Narodowej“ Władysław Jabłonowski.

RUCH WYDAWNICZY

Piękną pamiątką niedawnego jubileuszu ks. Piotra Skargi pozostanie nowe wydanie „Żywotów świętych” podjęte przez Wydawnictwo Księży Jezuitów w Krakowie. Właśnie ukazał się tom jego czwarty i ostatni. Całość ma tytuł trochę może dziwny: „Żywoty Świętych Starego i Nowego Zakonu... przez ks. Piotra Skargę *Societatis Jesu* przebrane, uczynione i w język polski przełożone i teraz znowu od niego po raz ósmy do druku przejrzane”... Ktoś gotów pomyśleć, że ma do czynienia naprawdę dopiero z wydaniem ósmem tego dzieła, byłby zaś oczywiście w błędzie, gdyż obecne wydanie jest już bodaj trzydzieste! Wydawcy obecni jedynie chcieli zaznaczyć, że oparli się na pierwszem wydaniu pośmiertnem „Żywotów”, a ósmem z kolei, ostatecznie autoryzowanem przez samego Skargę. Przedrukowali je wiernie, z pietyzmem, nie uwzględniając żadnych późniejszych przeróbek; jedynemi zmianami, jakie poczynili, są: modernizacja pisowni (nie języka!) oraz dodanie prześlicznej modlitwy wstępnej do świętych, która była w wydaniach ogłoszonych za życia autora, a z niewiadomych powodów została pominięta w pierwszem wydaniu pośmiertnem; jej przywrócenie przyczynia blasku nowemu wydaniu, gdyż modlitwa ta jest chyba najwyższym wzlotem polskiej poezji religijnej przed liryką rzymską Mickiewicza.

Język „Żywotów” doczekał się uznania już dawno, nietylko ze strony Mickiewicza, niejeden z mistrzów polszczyzny na dziele tem styl swój kształcił. Już z tego względu dzieło to zasługuje dziś jeszcze na poznanie i uznanie. Ale są jeszcze i inne względy dotąd niedocenione. Oto „Żywoty” należą tak dla swej wartości literackiej, jak i swego poziomu intelektualnego do arcydzieł hagiografii w literaturze światowej. Kiedyś pewno znajdzie się badacz, który oceni, ile Skarga włożył w to dzieło rzetelnego naukowego trudu: ile poznał źródeł historycznych, z jakim krytycyzmem wartość ich oceniał. Wyprzedził na tem polu Bollandystów, a daleko poza sobą pozostawił Suriusa, z którego z wielką ostrożnością korzystał. Zasługą jego jest i to, że nie ulegał suggestiom mylnych i mętnych informacyj Długoszwych w opracowaniu żywotów świętych polskich: Wojciecha, Stanisława i Kingi. (J. B.)

•

Jubileusz Horacego w dalszym ciągu przynosi u nas objawy hołdu dla rzymskiego wieszcza, którego utwory i myśli były nietylko wzorem i natchnieniem naszych poetów, ale też podnietą dla narodu polskiego i otuchą w ciężkich chwilach; dałoby się bowiem i o Horacym napisać książkę podobną tej, jaką o Wergilim napisał Chrzanowski: czem był on dla Polaków po upadku niepodległości.

Najgorliwiej krzewi kult Horacego w jego 2000-ną rocznicę lwowska oficyna filomacka prof. Ganszyńca. Już parę miesięcy temu wydała piękny wybór pieśni tego poety w doborowych przekładach dawniejszych i nowszych tłumaczy; później jeszcze ukazywały się odbitkowe wydania różnych przekładów, a i ostatnio dostaliśmy cały ich zbiorek i to zarówno piękny, jak oryginalny. Nosi on tytuł „Na nutę Horacego, przekład ód i epodów dokonany w formie sonetów”.

Eksperyment był ciekawy, ale i ryzykowny, bo łatwo było wpaść w szablon albo też być zmuszonym do przykrawania myśli Horacego w obcisłą formę. Tłumacz jednak, a jest nim Stanisław Kaczkowski z Łodzi, dał sobie radę wybornie. Przekłady jego są dźwięczne, płyną tokiem naturalnym, nie znać w nich wymuszenia ani niezręczności. Dłuższe utwory Horacego zostały w wersji polskiej podzielone na dwie lub trzy części— przyczem wyszło na jaw bystre spostrzeżenie tłumacza, że podział taki leży właściwie już w treści oryginału,—że poecie rzymskiemu przyrodzoną formą były krótkie utwory trzy i czterozwrotkowe, a większe kompozycje są właściwie cyklem wątków analogicznych. W eksyerymencie swoim Kaczkowski miał poważny wzór w Hérédii, a poniekąd i w „Mitologiach” Rydla; nieraz stanął blisko tych wzorów. Nie udało mu się tylko kilka miejsc, zwłaszcza w odach o nastroju patetycznym.

Śliczną opowieścią o życiu Horacego, napisaną dla młodzieży, są „Wywczasy poety”, napisane przez wybitnego pedagoga i doskonałego znawcę starożytności, Tadeusza Lewickiego. Zwłaszcza rozmowy poety z Taliarchem zostały tam opowiedziane żywo i zajmująco, a przytem są pod każdym względem pouczające. W dobrej szkole kształcił się Lewicki; niezawodnie prócz samego poety rzymskiego mistrzami mu byli wielcy humaniści francuscy XIX wieku.

Stanisław Pilch, drugi niezmordowany lwowski propagator klasyczności, dał nam broszurkę o stosunku Henryka Sienkiewicza do Horacego. Każdy z nas ma w pamięci śliczną parafrazę „*Beatus ille*“, którą napisał Sienkiewicz w Oblęgorku; prócz niej znanych jest kilka innych przekładów tegoż pióra.

Całokształtem zainteresowań horacjańskich w Polsce zajął się Wiktor Hahn, dając gruntowną i sumienną, jak zwykle, „Bibliografię Horacego w Polsce” (Lublin, Bibl. Un. Lub.), obejmującą setki pozycyj. (J. B.)

•

Od lat kilku poloniści zaczęli coraz to częściej zajmować się postacią i twórczością Mickiewiczowego rówieśnika, Tymona Zaborowskiego, przedwcześnie zgasłego „Śpiewaka Miodoborów”, który w Krzemieńcu przewodził kółku pisarzy, mających cele podobne tym, którym hołdowli filomaci wileńscy. Pod wpływem ściślejszych badań prysły sądy dawnych uczonych (Pilata, Kallenbacha), lekceważących sobie twórczość tego poety. Wbrew temu, co o nim pisano dawniej, okazał się on nietylko zręcznym wierszopisem (jeden z mistrzów rymu przed Słowackim!) ale ponadto wcale zdolnym poetą, o wielkim rozmachu epickim.

Z szeregu młodych badaczy, którzy się nim uważniej zajęli, na czoło wysunęła się Maria Danilewiczowa. Przed dwoma laty dała podstawową monografię o tym poecie-Wołyniaku („Tymon Zaborowski, życie i twórczość”, Studia z zakresu historii literatury polskiej nr. 10, Warszawa), obecnie zadała sobie trud wielki zebrania, uporządkowania i opracowania krytycznego całej jego puścizny poetyckiej. Dzięki temu wyraziście ukazał się profil poetycki Zaborowskiego, przedewszystkiem zaś jego uzdolnienie epickie. Jego „Bolesław Chrobry“ — po raz pierwszy wydany w całości i w edycji książkowej — jest próbą epicką mogąca stanąć nieomal koło „Grażyny”, w każdym razie wyższą nad wszelkie „Jagiellonidy“.

Warto też zwrócić uwagę na sonety Zaborowskiego, równoczesne sonetom Mickiewicza (jeżeli nie wcześniejsze), a odznaczające się równie wirtuozowską biegłością formy. Próby dramatyczne mniejszej są wagi, ale i one niedaleko staną za takiemiż próbami starszych krzemieńczan (profesorów): Felińskiego i Euzebiusza Słowackiego.

Wydawczyni wywiązała się ze swego zadania wzorowo, sumiennie. Opuszczenie kilku wierszy wątpliwej treści lub autentyczności nie może być poczytane za ujmę. Pozostała jeszcze niewydana korespondencja Zaborowskiego; może i ona kiedyś doczeka się wydania. (J. B.)

*

Stanisław Piechowski. „Orloni”. Poemat dramatyczny w siedmiu obrazach. Wydanie pośmiertne. Warszawa 1931. Skład główny Gebethner i Wolff w Warszawie str. 141.

W sposób zupełnie nieoczekiwany dla krytyki pojawiła się na półkach księgarskich ta książka — i minęła bez echa, może ze względu na mało znaną osobę autora, mającego zresztą dobre parantele w świecie artystycznym, brata znanego malarza, Wojciecha Piechowskiego.

Życie Stanisława Piechowskiego jest dobrem unaocznieniem tej prawdy, że „człowiek średni, który może zapewnić trwałość narodowej egzystencji, musi mieć zasadniczy typ człowieka wielkiego”. („Ideał mocy twórczej”. Z. Wasilewski. „Przegl. Wszechp.” Lipiec 1922, nr. 7). Ten zaś gatunek zdradza swoją wysoką klasę duchową w trakcie twardego i upartego obstawania w walce o ideał życiowy. Poznać ptaka po piórach.

Stanisław Piechowski (ur. 1851 r. w Nosarzewie Borowem pow. mławskiego, um. 20 grudnia 1930 r. w Mławie) ciężką i trudną przebył drogę, nim zdobył potrzebne wykształcenie. Ojciec pchał go na rolę, podobnie jak i przyszłego malarza, Wojciecha, faworyzując dwu pozostałych synów, właśnie zapalonych rolników.

Mimo różnych przeszkód udało mu się jednak przebrnąć przez wyższe studia literackie i filozoficzne na Wszechnicy Jagiellońskiej, skąd musiał wyjechać do Prus na praktykę rolniczą.

Jak sam wspominał, wiele przyczynił się, gospodarując na niewielkiej dzierżawie w mławskiem, do umożliwienia kariery malarskiej bratu Wojciechowi, na którego wykształcenie ojciec nie nazbyt się ekspensował.

W r. 1906 Stanisław Piechowski był więziony i wygnany przez Rosjan jako przestępca polityczny. Oparł się aż w Krakowie.

Tam i w Zakopanem zetknął się z kołami literacko-artystycznemi.

Lata, poprzedzające wojnę i okres wielkiej zawieruchy wojennej przebył na stanowisku skromnego urzędnika w cukrowni Cielce w Kaliskiem. Pozostawił pamięć znakomitego, choć na małą skalę, ogrodnika i... kilkadziesiąt wyhodowanych szczepów róż. O jakiemś autorstwie głucho było zawsze i cicho.

Tymczasem przecież pozostawił spory dorobek: „Pan Rębalski" (niewydany poemat), dramat „Dzwon" (księgarnia Polska B. Połonieckiego, Lwów, 1913), poemat „Za nią" (księgarnia Wojnara, Kraków 1907), „Echa", „Król Popiel", „Orloni" oraz liczne drobniejsze utwory w „Bluszczu" i innych czasopismach.

Ideałem życiowym Piechowskiego była Polska. Jej służył jego, nie bez dalekich ech twórczości Wyspiańskiego, symbolizm, jak również i te, pod wpływem Słowackiego wyrosłe koncepcje historiozoficzne i poetyckie. Tragedią — letarg ojczyzny. Marzeniem—przeszła wielkość Słowian, dziedziców dawnych Polan, naszych protoplastów.

Takaż nić mesjanicznej tęsknicy wije się i po przez neoromantyzm, jak będziemy mieli kiedyindziej sposobność stwierdzić przy przedwojennych pierwiastkach twórczości Małaczewskiego.

„Orloni", prócz całego balastu reminiscencyj romantycznych, od którego i wielkim ciężko się było nieraz uchylić, zawiera w wielu miejscach prawdziwe piękności poetyckiego spojrzenia na świat. Choć znowuż niejednego się P. nauczył od autora „Balladyny", przecież własnemi oczyma widzi krasę środkowo-polskiego krajobrazu.

Forma wierszowa świadczy o kulturze i wyrobieniu literackiem.

Kto wie, czy dramat ten nie nadałby się do nader ciekawego, jeśli chodzi o koncepcję inscenizatorską, wystawienia na deskach scenicznych. Napewno zaś dostarczyłby wielu pomysłów dekoracyjnych i kostiumowych. (ST. J.)

TEATR

ŚLUBY PANIEŃSKIE

JAKBY dla przeciwstawienia dawnego świata polskiego nowożytnemu, który oglądaliśmy w komedii p. Marii Jasnorzewskiej, Towarzystwo Krzewienia Kultury Teatralnej w Polsce, wznowiło (w teatrze Narodowym) znakomitą komedię Fredry „Śluby panieńskie".

Tutaj są też dwa temperamenty męskie: jurny Gustaw grany przez (Jurka) Leszczyńskiego, i niemrawy Albin, grany na wesoło przez p. Wesołowskiego.

Dawniej, w czasach Fredry, „podchodzono" do zagadnienia jurności i niemrawstwa od strony charakteru; fizyczną stroną kwalifikacyj męskich nie zajmowano się publicznie.

Komedia Fredrowska kwestię popędu miłosnego łączyła bezpośrednio z kwestią nierozerwalnego małżeństwa i rodziny, jako instytucji społecznej; dzisiejsza komedia nie wiąże tych dwu spraw ta ściśle. Logicznie biorąc, tamte związki miłosne mogły mieć w sobie coś tragicznego, gdy dzisiejsze wydają się mało ryzykownemi próbami współżycia. A jednak komedia dawna ma w sobie więcej pogody, niż dzisiejsza. Komedia wydobywała poezję z drżenia serc młodych dziewcząt, Klary i Anieli, za spokoju dusz, które już swoją drogą odbyły — Dobrójskiej i Radosta. Pisano ją nawet wierszem.

Warto wsłuchać się, dla samego wypoczynku po zgrzytach życia ułatwionego, w melodię owego życia krępowanego i w stosunkach towarzyskich i w sztuce rygorem obyczaju czy rymu. Wydaje się tam człowiek czemś odświętnem, gdy nam dziś robi się jakoś beznadziejnie, że nigdy już święta jeno brutalność dosłowności i powszedniość.

Komedią Fredry zaopiekował się wypróbowany jej miłośnik, p. Stanisławski; on ją reżyserował, a wystąpił w nie jako Radost, ważący słowa jak perły. Doskonałą Dobrójską była p. Sulima. Albin w osobie p. Wesołowskiego był bardzo śmieszny. Fredro tak bogato wyposażył Gustawa w młodość, że p. Leszczyński grywa go od lat 25 dla tego samego by młodości nie zapomnieć.

Wcieleniem słoneczności wiosennej i dobrego ułożenia były panienki ze dworu, Klara i Aniela, w interpretacji pełnych wdzięku i talentu pp. Barszczewskiej i Świerczewskiej.

Całość wypadła wybornie.

Z. W.

MUZYKA

FILHARMONIA. Wadliwa kompozycja wieczoru postawiła „Koncert na orkiestrę" Michała Kondrackiego zaraz po „koncercie skrzypcowym" Beethovena, podczas gdy należało najnowsze dzieło młodego kompozytora odtworzyć na początku ze względu na dynamikę, jakiś żywiołowy charakter, który nie znosił żadnego sąsiedztwa, gasząc wrażenia odniesione z poprzednio granego utworu.

„Koncert na orkiestrę" jest ciekawym i zasługującym na uwagę etapem w twórczości Kondrackiego. Od „Popielin", „Suity kurpiowskiej", czy „Małej symfonii góralskiej" do „Meczu" a obecnie „Koncertu" kawał to drogi. Ewolucja znamienna i zrozumiała. Rzecz prosta — można by we wszystkich tych utworach znaleźć wspólne znamiona, te, które są związane z osobowością samego Kondrackiego. Inaczej być nie może, więcej — dobrze, że tak jest. Do znamion tych zaliczyć należy i śmiałość koncepcji, odwagę poszukiwań. Podobno w trzeciej części „Koncertu" można się było doszukać tematu „Pije Kuba do Jakuba". Ja — przyznam się — nie doszukałem go się i kładę to na konto plusów kompozytora. Dość już bowiem owego „wplatania" tematów, ułatwiania sobie zadania, oraz niewątpliwego fałszu, jaki się kryje w przeróbce naiwnej nieraz piosenki na pełen barwy instrumentacyjnej fragment poematu muzycznego, czy symfonii. Tanizn w najnowszym utworze Kondrackiego niewiele. Razi tylko zbyt poprawna część druga, nie bardzo zestrojona z pierwszą, podaną w piątek nieco za głośno, krzykliwie nawet, przez co zatraciło się możność wsłuchania w nowe dla autora pomysły formalne. Miało się wrażenie, że dyrygenta Lovro Matacić'a poniósł temperament. A przecież tak był doskonale opanowany przy prowadzeniu symfonii *g-moll* Mozarta, tak był doskonale opanowany przy akompaniamencie „koncertu" Beethovena, tak był nawet opanowany gdy prowadził „Kolo" J. Gotovac'a, dzięki czemu umyślna monotonność utworu została w pełni wydobyta ukazując samą istotę pomysłu. Poza tym jednym zarzutem, iż „koncert na orkiestrę" wypadł zbyt jaskrawo, żadnego zarzutu Matacic'owi postawić nie można. Jest wysokiej klasy dyrygentem, ma kulturę i ambicję pokazania dzieł odtwarzanych we własnej interpretacji. Interpretacja ta, uzgodniona ze świetnym, jak zwykle, Józefem Szigeti'm dała w rezultacie jedno z najlepszych odtworzeń „Koncertu skrzypcowego" Beethovena. Mieliśmy możność przekonania się, jak wielki jest udział wykonawców, ile wnoszą swego „ja", swego stylu. Dziwne zdawałoby się skojarzenie: Beethoven i współczesność. A jednak... wynik był ponad wszelkie spodziewanie.

W programie mieliśmy jeszcze „Ucznia czarnoksiężnika" Dukasa. Nie wiem, czy jest on tak szczególnie faworyzowany przez dyrygentów ze względu na łatwy efekt, jaki tkwi w programowości utworu, czy też go chętnie wysuwa sama Filharmonia. Mimo iż — jak można zauważyć — należy do utworów raczej lubianych, możeby tego „Ucznia" na czas dłuższy przemienić w jaką mysz, by sobie posiedział pod tą goethowską miotłą, której historię tak chętnie, bo zawsze, przypomina program, ilekroć tylko Dukas jest na afiszu.

Proponuję zmienić balladę. Czytanka będzie przyjemniejsza...

W. NARUSZ

P. S. Sprawozdanie z premier Opery Warszawskiej ukaże się w następnym numerze.

WIELKOŚĆ I SEKCIARSTWO

DAWID Lloyd George, minister amunicji a następnie premier Wielkiej Brytanii w decydujących latach wielkiej wojny, ogłasza w dalszym ciągu swe pamiętniki, których wyszedł obecnie tom piąty, obejmujący rok 1917 i wiosnę 1918. Lektura to bardzo zajmująca nietylko dlatego, że autor miał dostęp do najpoufniejszych aktów i decydował w najważniejszych sprawach, lecz w nie mniejszej mierze i dla tego, że biorąc udział we wszystkich ważnych naradach koalicji, miał sposobność zetknąć się z wszystkimi mężami stanu i generałami i daje bardzo ciekawe nieraz ich sylwetki.

Nieraz pisano o rozmaitych brakach wiadomości Lloyda Georgea, o tem że nie bardzo wiedział czy Charków to jest miasto, czy generał rosyjski a Śląsk mieszał z Cylicją (wskutek zbliżonej angielskiej wymowy *Silesia* i *Cilicia*) ale braki te nie mogą przesłonić faktu, że jest to umysł zgoła wyjątkowy i że niedarmo z ubogiego prowincjonalnego doradcy sądowego wybił się na pierwsze miejsce w potężnem imperium. Sąd jego o ludziach i rzeczach zdumiewa swą bystrością i przenikliwością, a nie mniej podziwu godna jest błyskawiczna orientacja w zupełnie nowych sprawach. Jest to przy tem wytrawny gracz parlamentarny i jego opowiadania o intrygach walki politycznej warte są przeczytania.

Pamiętniki wywołały w Anglii prawie skandal, gdyż autor ściąga z konwencjonalnego piedestału wiele wielkości, zwłaszcza spośród wojskowych, których sądzi bardzo surowo i obarcza winą za wiele bezużytecznie przelanej krwi i przedłużenie przez to wojny. Krytyka zarzuca mu, że sam się uważał za najlepszego stratega i zawsze według pamiętników miał rację. Oczywiście, że należy to czytać z odpowiednią dozą krytycyzmu, tem nie mniej jednak opowieść Lloyda Georgea, poparta gdzie trzeba dokumentami, daje obraz nieprawdopodobnego wprost „bałaganu" i usprawiedliwia odezwanie się jednego z Francuzów, po pewnej naradzie:

— Nabieram coraz mocniejszego przekonania, że Napoleon nie był wcale genialnym wodzem!

— Jakto?

— Ach, przecież całe życie zwyciężał tylko koalicje, a to wcale nie jest wielka sztuka!...

Generałowie angielscy wychodzą dość kiepsko w tych wspomnieniach. Autor przyznaje im zalety żołnierskie, ale odmawia talentów wodzów. Wódz naczelny, gen. Douglas Haig to według niego odważny i uparty w walce żołnierz, który postawiony w okopach biłby się znakomicie do ostatka, ale ten właśnie upór i ograniczony horyzont widzenia,oraz małostkowa ambicja odbierały mu kwalifikacje na wodza. Francuzi też nie wiele lepiej się przedstawiają z wyjątkiem Focha, który odrazu wywarł na angielskim premierze potężne wrażenie. On jeden miał według Lloyda George'a widoczny błysk geniuszu i wysuwał się wszędzie automatycznie na pierwszy plan, nawet wtedy gdy nie miał odpowiedniego stanowiska.

Lloyd George pisze niejednokrotnie, że narada z Fochem zawsze napawała otuchą, nawet w najcięższych chwilach. Przytacza między innemi naradę wiosną 1918 roku, kiedy po pomyślnych ofensywach niemieckich dowódcy angielscy i francuscy rozważali możliwość rozerwania wspólnego frontu, cofnięcia się armii angielskiej dla osłony portów nad kanałem. Foch nie chciał nawet rozważać tej ewentualności. Na wszystkie zapytania odpowiadał z coraz większym naciskiem tylko: „*Ne lachez pas pied!*" I Lloyd George z uznaniem stwierdza dobroczynny skutek, jaki ta odmowa dyskutowania nad rzeczą niedopuszczalną wywarła na generałów, mających już podświadomie sformułowane postanowienie odwrotu.

To też, sądząc z pamiętnika, Lloyd George i lord Milner byli od samego początku zwolennikami nadania Fochowi najpierw dowództwa decydującej armii rezerwowej, a potem naczelnego dowództwa wojsk koalicji. Przedstawienie całej walki o to jednolite dowództwo jest niezmiernie interesujące, ale najciekawsza jest rola Clemenceau w tej sprawie. Lloyd George dopiero po pewnym czasie zorientował się, że Foch ma przeciwko sobie nietylko angielskich generałów, którzy zaprzepaścili doskonały pomysł armii rezerwowej, ale również i samego Clemenceau. Dlaczego? Oto wyjaśnienie Lloyda Georgea;

„Foch był pobożnym katolikiem. Pośród wyższych dowódców armij francuskiej było wielu nominalnych katolików, lecz ci nigdy nie wysuwali swego przywiązania do rzymskiego kościoła w sposób ostentacyjny, nie byli nawet katolikami praktykującymi... Clemenceau był najzagorzalszym antyklerykałem. Całe życie zwalczał wpływ Kościoła. Za nic nie wszedłby do kościoła, a jego odmowa wzięcia udziału w nabożeństwie w katedrze strassburskiej podczas uroczystości z okazji odzyskania Alzacji, przyprawiła go o porażkę przy wyborach na prezydenta republiki, mimo że był wówczas najpopularniejszym i najpotężniejszym człowiekiem we Francji. Foch był nietylko sam gorącym zwolennikiem Kościoła, ale i brat jego był biskupem. Clemenceau głęboko niedowierzał generałom katolikom i niechętnie powierzał władzę w ich ręce. Nie był nigdy pewny jaki z niej zrobią użytek. Ta duchowa antypatia między tymi dwoma nadzwyczajnymi ludźmi rozrosła się w ciągu następnych miesięcy do rozmiarów antagonizmu bardzo niemiłego dla wszystkich, którzy brali udział w naradach wraz z nimi. Niema nic przykrzejszego w naradach, jak być świadkiem ścierającej się nienawiści dwu mocnych osobistości. Im więcej Clemenceau rozmyślał nad wersalskim planem generalnej rezerwy pod tym klerykalnym żołnierzem, tym mniej mu się to podobało".

Ostatecznie projekt tej armii upadł przez sabotaż generałów angielskich i Clemenceau, a trzeba było dopiero wiosennych klęsk na froncie francuskim, żeby zdecydowano się ostatecznie uciec do tego katolickiego generała, o którym Lloyd George, sam zacięty sekciarz, powiada przecież, że był jedynym człowiekiem obdarzonym zdolnością błyskawicznej decyzji i lampą geniuszu.

Tak oto literatura pamiętnikarska już drugi raz podkreśla sekciarstwo tego starego jakobina Clemenceau, które pociągnęło za sobą fatalne skutki. W *„Revue de Paris"* ogłoszone były wspomnienia pewnego pośrednika austriackiego, który sondował „tygrysa" w sprawie odrębnego pokoju z Austrią i otrzymał odpowiedź, że taka kombinacja wyszłaby na korzyść katolickiej Austrii ze szkodą protestanckich Prus — *jamais de ma vie!*

Tak oto pokutujące jeszcze staromodne sekciarstwo przytłacza sądy wyjątkowych nawet ludzi.

ARGUS

NA MARGINESIE

Dzienniki z 18 b. m. ogłosiły informację o zasadach programu i form organizacyjnych nowego obozu rządowego, tworzonego przez pułk. Koca. Są tam takie niezbyt zrozumiałe tezy, jak ta początkowa:

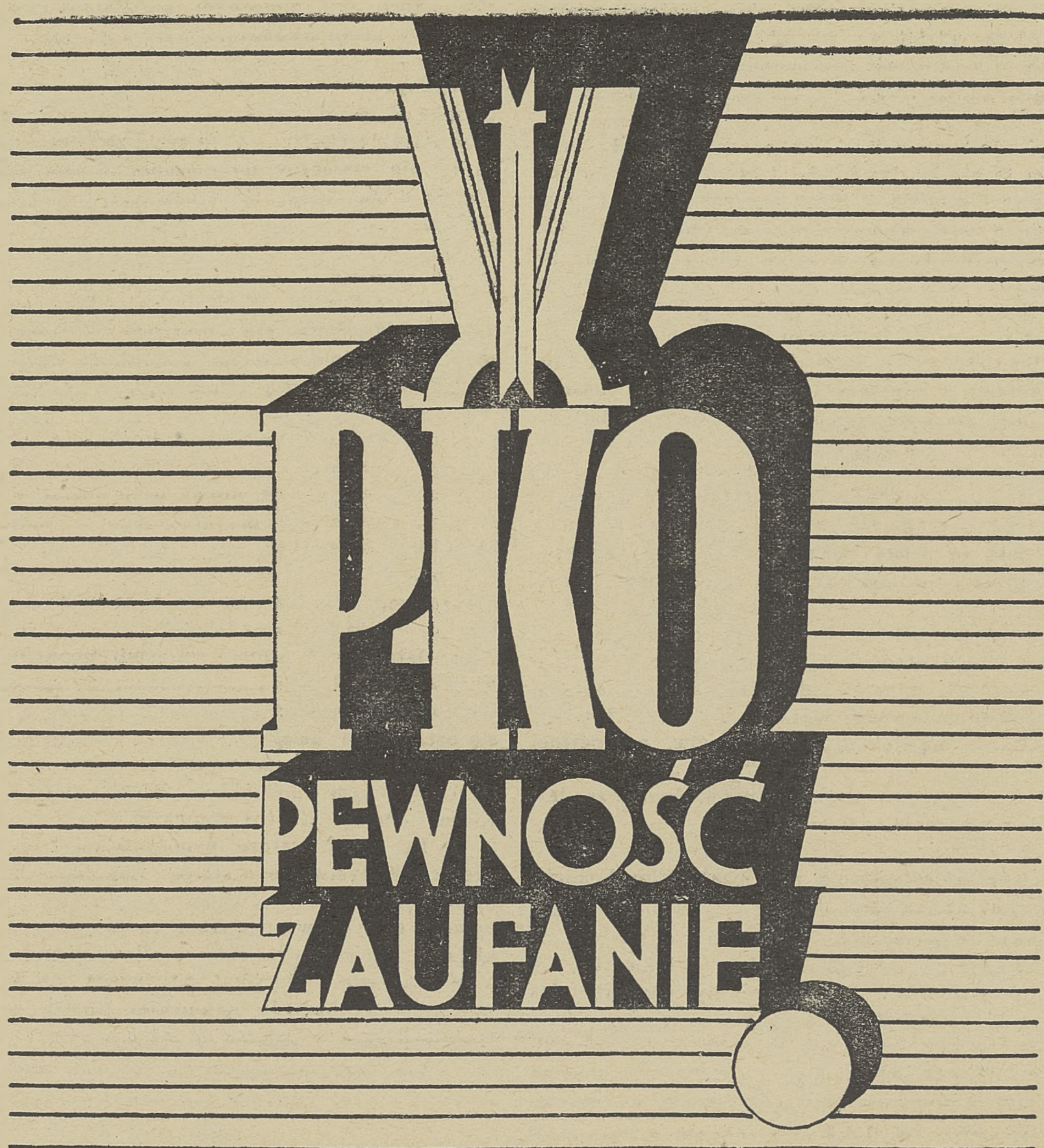
„Nowa konstytucja oraz fakt, że niezależnie od nominalnej głowy państwa istnieje naczelny wódz, ułatwia postawienie idei państwa, jako nadrzędnej w stosunku do grup społeczno-politycznych i jednostek"

Liczne są powody, dla których organizacja obozu jest niezbędna, a najważniejszy ten, że Polsce

„brak poważnej organizacji politycznej, którąby była wykładnikiem idei interesu państwa i zastąpiła wynikające stąd oparcie systemu wyłącznie na aparacie administracyjnym, policji i wojsku".

Jest rzeczą zdumiewającą, do jakiego stopnia to pokolenie wychowane na socjaliźmie zatraciło w sobie pamięć, że istnieje stara, wypróbowana w dziejach, dana od przyrody i cywilizacji instytucja: N a r ó d.

Oczywiście, trudniej się nią posiłkować, niż batalionem „oddającym się do dyspozycji" kandydatów na posady, ale od tego szkoła myśli politycznej (prawdziwej), szkoła mężów stanu (prawdziwych).



TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.